Nr. 24. Warszawa, dnia 17 (5) Czerwca 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZANIEDBANE ŹRÓDŁO.

I.

Jest to faktem, nieulegającym żadnej wątpliwości, że nasze pojęcia ekonomiczno-społeczne w ciągu ostatnich dziesiątków lat głęboko się zmieniły i to w kierunku bardzo pożądanym dla rozwoju cywilizacyjnego. Przedewszystkiem uznaliśmy konieczność pomnożenia rodzajów egzystencyi i nauczyliśmy się bardziej szanować pracę. Jeszcze przed ćwierć wiekiem, śród t. zw. klas wyższych, kto nie miał majątku lub urzędu, ten poprostu nie widział wokoło siebie kategoryi istnienia „przyzwoitego.“ Po za rentą i pensyą wszystko nas „hańbiło“: i handel, i przemysł (w wielu gałęziach), i rzemiosła. Gdyby posiadaczowi folwarku albo urzędnikowi zaproponowano, ażeby uczynił syna kupcem, garbarzem, fabrykantem grzebieni, drukarzem perkalików, farbiarzem itp., odpowiedziałby: jeszcze tak nisko nie upadłem! Dziś wielu ojców w najrozkoszniejszych snach marzy o tych zajęciach dla swych dzieci. Częścią wpłynął na tę zmianę sam proces rozwoju wyobrażeń w społeczeństwie, ale przedewszystkiem i głównie bardziej przekonywająca od najmożniejszych argumentów praktyczna konieczność życia. Gdy źródła rent wyschły, trzeba było pogodzić się z myślą o postaciach pracy dawniej pogardzanych, wziąć rozwód z przesądami a ślub z rozumem. Powoli w szkołach rzemieślniczych i handlowych, w warsztatach i fabrykach zaczęli się pojawiać synowie rodziców, którzy dawniej wzdrygali się na taką dla nich karyerę, herbowicze stawali za stołami sklepowymi lub przy maszynach, a tylko zaniedbani lub nieudolni przyczepiali się w dalszym ciągu do rozmaitych biur i urzędów. To przerabianie się stosunków i pojęć trwa dotąd.

Jednym z jego objawów jest zwrot ku ogrodownictwu. Przypomnijmy sobie niedawne jeszcze czasy, kogo i co my rozumieliśmy pod wyrazem „ogrodnik.“ Był to trochę poduczony chłop, umiejący szczepić drzewa, hodować kwiaty i warzywa, niższy oficyalista wiejski, pobierający 30 do 50 rs. rocznie, obowiązany dostarczać państwu na stół szparagów, kalafiorów, młodych kartofli, sałaty i owoców, zastrzeżonych w umowie z żydem dzierżawiącym sad. Bogatsi trzymali lepszego i droższego sługusa, zwykle sprowadzonego z zagranicy, który utrzymywał park i kwietniki. Tak było do ostatnich czasów w kraju, który — jak to dziś widzimy — posiada warunki dla produkcyi owocowo-kwiatowej na wielką skalę i może nią podnieść swój dobrobyt do wysokiego stopnia.

Już dotąd osiągnięte rezultaty nadają tej sprawie nietylko znaczenie społeczno-moralne, jako postęp i uszlachetnienie się wyobrażeń, ale także ekonomiczne. Innemi słowy: chodzi tu nietylko o nasze przeistoczenie się duchowe, ale o wytworzenie pewnej sumy bogactw materyalnych kraju. Ażeby tę doniosłą kwestyę oświetlić zarówno ze strony teoretycznej, jak praktycznej, musimy ją rozważyć w kilku zasadniczych punktach, do czego nam dopomoże świeżo wydana (w trzeciej edycyi) książka p. E. Jankowskiego p. t. *Sad i ogród owocowy*, który obok wiadomości technicznych roztrząsa w niej zagadnienie ogólne.

Pierwszem pytaniem, jakie się tu nastręcza, jest: czy warunki miejscowe sprzyjają u nas szerszej hodowli owoców?

Pod względem klimatu — odpowiada na to p. J.— kraj nasz leży w drugiej (pszenicznej) i trzeciej (żytniej) strefie owocowej, według podziału ustanowionego jeszcze przez Humboldta (w tym podziale pierwsza strefa jest winogronowa, a czwarta — owsiana). W pasach tych udają się bardzo dobrze wszystkie drzewa, prócz kasztanów słodkich, brzoskwiń, moreli i wina, które muszą być rozpinane na murach. Jedyną trudność nastręczają pewne delikatne odmiany grusz, którą jednak szczęśliwie pokonały prace lat ostatnich. Liczne wystawy przekonały nawet największych niedowiarków, że kraj nasz może wydawać owoce wyborowe. Jeszcze lepsze mamy na to dowody, zbywając nasze gruszki i jabłka po dobrych cenach w Cesarstwie. Klimat nasz nie należy do najprzyjaźniejszych, ale pominąwszy rozmaite wybryki natury (srogie zimy, chłodne i wilgotne lata), pozwala uprawiać odmiany wysokiej wartości. Zresztą odmiany takie i w Europie zachodniej pochodzą z drzew szczególną pieczą otoczonych. Co do ziemi — to bardzo mało jest takiej, któraby przy odpowiedniem zasileniu nie rodziła dobrych owoców. Niektóre zaś okolice (Powiśle, Hrubieszowskie i t. d.) posiadają grunty pierwszorzędne.

Czy może powstać u nas nadmiar owoców? Zbyteczna obawa. Dalecy jesteśmy jeszcze od zadośćuczynienia własnej potrzebie, niezmiernej konsumcyi Cesarstwa, a wreszcie nierozwiniętej dotąd fabrykacyi przetworów, gdyż nie posiadamy ani jednej fabryki konserwów, nie wyrabiamy wybornego i zdrowego napoju jablecznika, na który sama Wirtembergia zużywa rocznie owoców za milion rubli. Co tu mówić o nadprodukcyi, jeżeli tylko za synapy krymskie zapłaciliśmy w jesieni r. z. około 600,000 rs. Nadto przy określaniu potrzeb miejscowych pamiętać należy, że lud nasz — który mógłby być olbrzymim spożywcą — owoców prawie nie jada, o ile ich nie ukradnie lub nie kupi zgniłych i niedojrzałych na targach. „Śmiało twierdzić możemy — mówi p. Jankowski — że gdybyśmy posiadali 10 razy tyle drzew

owocowych, ile ich mamy, jeszcze nie byłoby ich za wiele“ *).

Zastanówmy się z kolei nad kwestyonowaną przez wielu dochodnością sadów. Według p. Smirenki, niektóre krymskie, przestrzeni 15—25 dzies., przynoszą dochodu po 30,000 rs., pomimo że za pud płacono tylko rs. 1. Dochód z dzies. daje przeciętnie 700—800 rs. Według p. Jankowskiego w naszych (gorszych) warunkach gleby i klimatu dzies. sadu może dać rs. 300 (jedno drzewo rubla), nie licząc naturalnie korzyści z uprawy krzewów i jarzyn między drzewami. Autor przytacza kilka ciekawych przykładów szczegółowych. Pewien sad w okolicach Warszawy po 13 latach istnienia z 2500 drzew dał 5,800 rs. dochodu brutto. Za inny ogród w Warszawie (2000 drzew) żydzi płacą dzierżawy 3,000 rubli. Jedna letnia bergamota w ogrodzie Kaczyńskich w Warszawie przynosi 60 a nawet 80 rubli. Jedna ananasówka polska w Jankowie (pod Warszawą) rodzi od 20 do 22 pudów, po 2 rs. za pud. Włościanin Falek na kępie Choteckiej (między Józefowem a Kazimierzem) z jednego drzewa baby ma rs. 60. Jedno drzewo karłowe Wiliamsa w Natolinie daje 2—4 p. gruszek (po 6—8 rs. za pud). Jedno drzewo bery liońskiej w ogrodzie warszawskiego Instytutu panien przynosi około 50 rs. dochodu — itd.

Przeciwko tym dowodom i wysnuwanym z nich wnioskom przytaczane bywają skargi na trudność sprzedaży owoców. Skargi te są w obecnym stanie rzeczywiście usprawiedliwione, ale ustałyby natychmiast, gdybyśmy produkowali owoców więcej. Paradoksalność tego twierdzenia jest tylko pozorną. Wiadomo bowiem powszechnie i oddawna, że wszelki towar toruje sobie drogi i zdobywa rynek wtedy, jeżeli wystąpi nietylko w pewnej jakości, ale także ilości. Gdyby ktoś w Pruszkowie lub Olkuszu wyrabiał rocznie 100 łokci najprzedniejszego aksamitu po rs. 1, mógłby nie znaleźć nabywców; ale gdyby wyrobił 1000 po 2 rs., rozprzedałby natychmiast. Podobnie gdyby ktoś u nas produkował dwa pudy białej kalwili po rs. 1, mógłby nie znaleźć kupca, ale gdyby miał 1000 pudów po 3 rs., rozchwytanoby mu cały zapas. Handel a zwłaszcza wielki, szuka obfitych nagromadzeń towaru a nie zbiera po świecie kruszyn. Niech będzie wiadomo, że kraj nasz posiada masę pewnych owoców, dowiedzą się o nich handlarze europejscy, jak o krymskich, czeskich lub węgierskich. Ale czyż mają żądać kilkunastu lub kilkuset pudów, których nadto nie wiadomo gdzie szukać i jak zebrać? Dla tego to spotęgowanie produkcyi owocowej jednocześnie otworzyłoby jej rynki, które dziś ograniczają się przeważnie do targów miejskich, odpustów i jarmarków.

Gdyby nasza kultura ziemi wytwarzała cokolwiek, co zapewniałoby jej wysokie i niezachwiane stanowisko w przemyśle i handlu, gdyby jakiekolwiek jej płody nie pozwalały oglądać się za innymi i stanowiły głębokie źródło bogactwa krajowego, moglibyśmy lekceważyć hodowlę owoców. Ale my właśnie znajdujemy się w tem położeniu, że uprawa zboża nie opłaca nam pracy w dawnej mierze, że chcemy ją dopełnić lub zastąpić inną, że nie wiemy, co począć z ziemią. Czyż w takich warunkach można się wahać i poprzestawać na dworskich sadkach, dających właścicielom za kilka dzies. i kilkaset drzew setkę rubli brutto? Nam się zdaje, że produkcya owoców jest jednym z najniezawodniejszych ratunków dla naszego przemysłu rolnego.

Zobaczymy, jakie on posiada siły i dźwignie, które by go w tym kierunku posunąć mogły.

*) Według danych urzędowych mieliśmy w 1884 r. 23,133 dzies. pod sadami, a licząc po 200 na dzies. — 4,626,600 drzew. Od tego czasu cyfra ta znacznie się podniosła skutkiem rozbudzonego interesu i zamiłowania. Tymczasem Czechy na swej niewielkiej przestrzeni posiadają około 20 milionów drzew owocowych. Nawet w Cesarstwie istnieją sady (pod Saratowem) z 12,000 jabłoni, dostarczających przy urodzaju po 85,000 pudów jabłek.

POLITYKA.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Znowu „wielka mowa“—Dupuyego, prezesa ministrów we Francyi. Ta jednak nie podobała się gazetom — nie dlatego wcale, ażeby była gorsza od innych i mniej zawierała dźwięcznych frazesów, ale dlatego, że francuzom teraz podoba się monsieur Constans a nie podoba monsieur Dupuy. Ten ostatni—jak zresztą tuziny innych — uważany za twórcę gabinetu „przejściowego“ (stała nazwa dla wszystkich rządów francuskich od lat kilkunastu) — już widocznie kończy swoje motyle istnienie i niedługo będzie musiał ustąpić miejsca innemu, również „tymczasowemu.“ Nie podajemy treści przemówienia Dupuyego w Albi, gdyż było ono zszywką znanych frazesów o sile Rzeczpospolitej, o potrzebie reform szkolnych i wojskowych, o koncentracyi rozstrzelonych sił itd.

Zdrowie prezydenta Carnota zaczyna mocno szwankować. Odzywa mu się coraz mocniej jakieś cierpienie wątroby, wymagające odpoczynku i dłuższego leczenia.

Dzień, w którym te słowa piszemy (czwartek), jest chwilą ogromnej wagi dla Niemiec. Tego dnia bowiem odbyły się wybory do Rzeszy w warunkach wyjątkowych. Tę wyjątkowość już nadała im nietylko sprawa reformy wojskowej, ale także wewnętrzny rozpad dotychczasowych stronnictw. Najdoświadczeńsi politycy nie przewidują rezultatu. Co się stanie z rozbitem centrum i z rozbitą partyą postępową, czy naród da większość, sprzyjającą dalszemu rozwojowi militaryzmu, czy też

---

3)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

IV.

Nie; jeżeli dyabeł pochwyci cię bodaj za jeden palec, nie myśl, że cię puści! I dzisiaj nic z postanowień.

Dziś był „dzień kaszowy.“ Nowożeńcy obchodzili wszystkich znajomych; więc i Enoch przyjąć ich musiał. Teraz właśnie, kiedy myślał już o wstrzymaniu się od grzechu, grzech przychodził sam do niego. A dziś będzie jeszcze gorzej, bo dziś on sam musi być gospodarzem. Sam do dyabła w dziewosłęby pójdzie; sam zgrzeszy i innych do grzechu skusi; nie jemu tu o duszy swojej myśleć; niechże więc Bóg poczeka, jak zwykle — do jutra.

Kuglarskie sztuki... Zawsze „jutro,“ nigdy „dzisiaj“ Pan Bóg — na ostatek; wszystko inne — przed nim.

Złamać-że obyczaj? — Enoch siedział w spodniem ubraniu i przez pięć minut patrzał nieruchomie na jedną skarpetkę — złamać obyczaj?!

Ale to niepodobna. Za złe wezmą. Pomyślą, że czyni to ze sknerstwa. Idzie na wesele, pozwala się raczyć, lecz wycofuje się, gdy kolej przychodzi na niego.. Haha, nawrócić się podczas wesela poto, aby zaoszczędzić poczęstunku. Nie, nic; niech się dzieje, co chce.

Zacisnął usta i skrzywił się, wciągnął skarpetkę, a potem spodnie, ogłuszył sumienie i obojętnym był na wszystko; Anna nie widziała go jeszcze nigdy takim dziwnym, jak tego ranka.

— Brzydki to był dzień. Już się popili w domu weselnym; potem z grajkiem na czele ruszyli do Enocha, a potem do Pera, pijąc wciąż, pijąc — aż do zmęczenia; potem — napowrót do domu, kiedy zaś wreszcie „kasza“ była gotowa, cała gromada tak była pijana, że prawie chórem śpiewała.

Krzyczano bez miary i celu. Zataczali się bezładnie, radowali się i wrzeszczeli, zawodzili i śpiewali, każdy — swojej tonacyi, każdy swoją piosnkę, tak że wszystko zlewało się w chaos; mieszał się w to pisk bab i śmiech dziewcząt; kto chciał mówić, musiał krzyczeć. W domu huczały tańce ze stukiem, jakby od tłoków i z takiem rozbijaniem podłóg, że aż dom drżał cały, i z wołaniem Ho! Hei! z wyciem i rykiem; skrzypki gwizdały i skomliły ze wszystkich sił, a jednak prawie ich nie słyszano; grajek tyle wypił, że wreszcie siadł i zaczął drzemać.

Drzwi na oścież były otwarte, a jednak pokoje stały we mgle z potu i z dymu. Łojowe świeczki w lichtarzykach, przybitych do ścian, w gęstem tem powietrzu płonęły światłem tak słabem, jak gdyby zasnęły. Zataczano się w półmroku i w pół śnie; rojami napływano i wynoszono się, kręcono się tu i tam, potykając się i zaciskając pięście; zapamiętali wrogowie rzucali się sobie na szyję, a starzy przyjaciele, wyzywali się wzajemnie do bójki; śmiechy i rubaszne dowcipy ochrypłym tonem przedzierały się poprzez tę wrzawę. Wesele! święto! Wszyscy byli tu rozradowani, wszyscy — do zbytków gotowi; odrzucili precz troski codzienne, zapomnieli o nich; czuli się raz przynajmniej wolnymi.

Na klepisku leżał Napolon Storbrekke i spluwał.

— Enoch i Anna poszli do domu, gdy wniesiono toast nowożeńców. Byłoby niedorzecznością powstrzymywać się dzisiaj od trunku. Enoch w członkach czuł ciężkość, a w sumieniu — niepokój. Ale dzięki Bogu — teraz wszystko już minęło.

Teraz Bóg obdarzy go prawdziwą skruchą. Zaczął próbować zaraz wieczorem, ale jakoś nie szło. Dyabeł nie opuszczał go ani na chwilę, szepcząc mu wciąż, że on, Enoch, nie jest gorszym od innych. Co więcej, nawet lepszym od tego i owego. Ale przecież w tem właśnie sęk: trzeba być najgorszym z grzeszników. Póki takim nie jesteś, a porównywasz się z innymi i wyszukujesz w nich błędy, na własne usprawiedliwienie, a nawet chwałę, póty nie jesteś do skruchy zdolnym i póty wejścia na drogę łaski spodziewać się nie możesz.

spotęguje opozycyę — są to pytania ważne i trudne, na które dzień dzisiejszy ma dać publiczną odpowiedź. Mówimy publiczną, gdyż prawdopodobnie okaże się potrzeba dokonania w znacznej mierze wyborów ponownych — ściślejszych.

Gazety niemieckie i austryackie, trudniące się z obowiązku sofistyką polityczną, przekonywają każdego i nikogo, że mowa hr. Kalnokego nie sprawiła żadnego kłopotu rządowi niemieckiemu. Wyśmiał tę obłudę swym rubasznym sposobem Bismark w *Hamburger Nachrichten*, który naturalnie przedstawił międzynarodowe położenie obecne w różowem świetle.

Ale b. kanclerz ma dwa języki: jednego używa sam przeciw projektowi wojskowemu, a drugi włożył w usta swemu synowi, który w mowie wyborczej oświadczył się za projektem. Pozornie zdawać by się mogło, że syn pozostaje w niezgodzie z ojcem, rzeczywiście zaś stary Bismark zdradza tylko swoją metodę postępowania: radby wzmacniać do nieskończoności siłę zbrojną Niemiec, ale gani tych, którzy na jego dawnem miejscu to robią.

Na przedmieściu prazkiem w Wrszowicach Juliusz Gregr mówił wobec licznego zgromadzenia o najnowszych wypadkach w sejmie czeskim. Zaznaczywszy, że naród wyzwolił się z pod wpływu zniemczałej i niedołężnej arystokracyi, że teraz dopiero się zdemokratyzował, Gregr wydrwił krzyki zgrozy na ów skandal. Jeżeli kosztem kilku piaseczniczek i kałamarzów — rzekł — osiągnęliśmy to, coby nas kosztowało wiele pieniędzy i ofiar, to powinnibyśmy być zadowoleni z tego rezultatu. Zresztą w innych parlamentach odbywały się jeszcze gorsze sceny.

Przyjaciel zmarłego dr. Mackenziego, który leczył cesarza Fryderyka, ogłoszeniem rozmaitych tajemnic z tej sprawy odnowił uspokojoną kłótnię między niemcami i anglikami. W pamiętniku tym znajdują się nowe oskarżenia przeciw lekarzom niemieckim i ujawniony nacisk dworu angielskiego na Mackenziego.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGIA KOBIETY.

C. Lombroso i G. Ferrero. *La donna delinquente, la prostituta, e la donna normale.*

II. Kobieta nienormalna.

A zatem kobieta jest stworzeniem niemoralniejszem, niż mężczyzna. Jest wrodzoną kłamczynią, lubuje się w okrucieństwie, nie posiada instynktów społecznych, nie umie uszanować cudzej własności. Już przez to samo z góry można przypuścić, że pomiędzy uczciwą kobietą a zbrodniarką przepaść nie może być tak głęboką, jak to widzimy wśród świata męzkiego. Natomiast istnieją inne rysy, nieodłączne od płci żeńskiej, a mianowicie silne uczucie macierzyńskie oraz mniejsza potrzeba rozmaitości przy zaspokojeniu instynktów rodzajowych, czyli jednomęzkość. Dopiero wtedy, gdy przeniewierza się tej naturze, zaczyna się oddalać od normalnego typu swojej płci. Ale dajmy słowo samym autorom. „Naszem zdaniem prostytucya a nie zbrodnia jest oznaką rzeczywistego zwyrodnienia żeńskiego; wogóle bowiem zbrodniarki urodzone są wyjątkami bardzo rzadkimi, istoty zaś pół zbrodniczo powstają śród kobiet, u których pod wpływem nieprzyjaznych warunków bytu rozwinął się ów zarodek niemoralności, istniejący w każdej, nawet normalnej. Kradzież np. i oszustwo nie są jeszcze dowodami wielkiej przewrotności u kobiety, gdyż nie posiada ona zbyt silnego szacunku dla cudzej własności, a zatem odpowiedni występek nie świadczy o poważnem zwyrodnieniu. Ale wstydliwość jest najtrwalszym instynktem niewieścim — po macierzyństwie; cały dotychczasowy rozwój duszy kobiecej w ciągu tylu wieków pracuje nad stworzeniem i wzrostem tej wstydliwości; kobieta, która posiadając pierwotnie jakieś zarodki wstydu, utraca je z łatwością, musi być o wiele anormalniejszą, aniżeli inna, która pod wpływem silnej pokusy sięgnie ręką po cudzą własność. Ostatni czyn jest jeszcze normalnym tamten stanowi anomalię.“ Kobieta odziedziczyła popędy jednomęzkie jeszcze po swoich prababkach przedludzkich; prawdopodobnie z tego powodu autorzy, chociaż nie wypowiadają się jasno w tej mierze, są skłonni uważać za nierząd wszystkie formy małżeństwa, gdzie kobieta była żoną nie jednego mężczyzny, lecz wielu. Przed nami przesuwają się zatem prostytucye „cywilne.‘, „gościnne,“ „braterskie.“ Słowem, gdzie poważnym historykom rodziny ani śniło się widzieć nierządu, tam Lombroso ze swoim współtowarzyszem go znaleźli. W całej pełni uwidocznia się tutaj mieszczańskie pojmowanie dziejów, nie mogące zrozumieć, ażeby chwila obecna stała niżej pod jakimkolwiek względem od ubiegłych okresów dziejowych — wszystko winno iść naprzód! Nadto dogodzili oni filisterstwu męzkiemu i tępią nawet w przeszłości wszystkie oznaki indywidualności kobiety, które mogłyby nadwyrężyć spokój jej wszechwładnego pana, a jednocześnie zamaskowali charakterystyczne piętno wszelkiego społeczeństwa towarowo-wymiennego, mianowicie że czyni ono właściwości duchowe i powaby ciała zarówno przedmiotami frymarki a swobodną grą uczuć i popędów zamienia na rzemiosło. Tymczasem prostytucya zaczyna się dopiero tam, gdzie nie uczucie jest sprężyną czynów, lecz chęć lekkiego zarobku pcha kobietę w objęcia mężczyzny.

Mniejsza zresztą o takie lub inne pojmowanie przeszłości. Zwróćmy się lepiej do teraźniejszości. Autorzy z pośród nierządnic usiłują wyłowić typ urodzonej prostytutki, tj. takiej, która rzuca się na tę drogę nie pod wpływem warunków bytu, ale dzięki swojej naturze chorobliwej; okoliczności zewnętrzne odgrywają w jej upadku rolę drugorzędną — sprawiają tylko tyle, że wstępuje ona na drogę sprzedaży swoich wdzięków nieco wcześniej lub później. W rzeczy samej, są fakty, które dają się pojąć tylko wtedy, kiedy przypuścimy pewne żądze wrodzone. Córka zamożnego inżeniera belgijskiego, wychowana w zasadach wstydliwości, która otrzymała dobre wykształcenie, krępowana w domu,

---

Westchnął tak ciężko, że Anna zapytać już chciała, co mu dolega, lecz powstrzymała się. Przypuszczała, że jest to cierpienie, w którem ona ulgi mu przynieść nie zdoła.

— Potem nie poszli już na owe wesele. Lecz przygnębienienie Enocha nie ustępowało.

W kilka dni później siedzieli przy wieczerzy.

Na stole stała ryba w tłustym sosie; a jednak cicho było przy wieczerzy.

Hans, parobek i Marta, dziewka, podtrzymywali przez jakiś czas rozmowę, Anna była im pomagała; przedmiotu nie brakło, teraz już po weselu. Ten i ów spił się tak lub tak; Napolona Storbrekke znaleziono na trzeci dzień rano w stajni Enochowej, w zagrodzie dla cieląt — ten z tym pobili się; ten lub ten chłopak tak się kręcił koło tej lub tej dziewczyny, że wkrótce znowu będziemy mieli wesele, „albo przynajmniej chrzciny.“ Lecz Enoch siedział i milczał, jak gdyby był głuchym. Więc i oni powoli zamilkli.

Na dworze wicher szumiał i huczał, niebo było szare, jesienne. Tam, w „Hag'u“, za ulicą, drzewa stały nagie, mokre i kołysały się z poświstem. Z ptaków prawie żadne nie pozostały, chyba tu i owdzie zaskrzeczała sroka lub wrona ciężko zatrzepotała skrzydłami.

Nagle w sieni rozległ się stuk drewnianych trzewików, drzwi otworzyły się cicho i niepostrzeżenie. Był to Per, sąsiad. „Smacznego“— wyrzekł z cicha i usiadł.

Był to człowiek mały, rudy, łagodny, o wązkich oczach i wązkiem obliczu, z szerokoskrzydłym kapeluszem na głowie. Zdjąwszy kapelusz sprawiał jakieś uroczyste wrażenie, jak gdyby przyszedł ze złą wieścią. Dla pozoru miał pod pachą kilka gazet.

Opowiedzieli sobie, co opowiedzieć należało — o pogodzie i o żniwach; potem Per oddał gazety, grzecznie przepraszając, że dziś je dopiero odnosi. Rozmowa się urwała. Per siedział i wzdychał; reszta towarzystwa czekała. Zdawało im się, że usłyszą jakąś nowinę.

— Toście wy pewnie nic nie słyszeli o tem nieszczęściu, które się dziś zdarzyło — wyrzekł wreszcie.

— Nieszczęście? — Tu, w okolicy?

— Tak, tak. Niedaleko — w Storbrekke.

— Wielki Boże! — westchnął Enoch i zadrżał.

— Cóż się stało? — Zachorował kto, albo co?

— O — westchnął Per — coś gorszego. Napolon... no, ale przykro o tem mówić.

— Cóż?..

— Wiesz przecież, co wyprawiał na tem weselu.

— Więc, więc?

— Został stąd odwołany.

W pokoju legł jakoby cień.

— Ależ na rany Chrystusa! Napolon?

— Tak. Dziś o wpół do jedenastej zabrała go nagła śmierć.

— Ach, Jezusie! Co mówisz! Wielki Boże!

Siedzieli cicho, z wybladłemi policzkami i wystraszonemi oczami; wieść tak ich przygniatała, że zaledwie odetchnąć śmieli.

— Ale czyż to może być prawda? Jakże się to stało?

— Niestety, prawda. Nie wiem, dlaczego, ale wydaje mi się, jakoby ten Napolon nie był do śmierci przygotowany... Jeszcze nigdy nic tak mi serca nie ścisnęło, jak ta nowina.

— Ale jakże to było?

— O, poszło prędko. Parobek mój, Lass, wraca właśnie stamtąd; miał odnieść trochę ziemniaków, które na wiosnę pożyczyłem od Napolona — przybywa, a właśnie nieboszczyka odziewają.

Zapadał zmierzch. Na dworze wiatr świstał i śpiewał, dął w kominy i bił o drzwi; strach ich zdjął, więc przysiedli się bliżej jedno do drugiego.

Panie, spraw, ażebyśmy dnie nasze liczyć mogli, iżby mądrość zamieszkała w sercach naszych“ — pomrukiwał Enoch; twarz jego była w tej chwili całkiem szara.

— Czy to wypadek nieszczęśliwy pytał Hans; upadł i zabił się na śmierć, czy też?

— Ale gdzież tam. Nagle go wzięło. I jak nagle! Chodził, ale był nieswój po owem weselu; dziś wpadło mu na myśl, że pojedzie do miasta. Czy się czuł chorym i chciał poradzić się doktora, czy też co innego, dość, że wziął parobka, żeby okuć szkapę. Kiedy tak stoją przed wrotami stajni, męcząc się owem kuciem... szkapa jest trochę niespokojna i nie chce ustać...

ucieka do Rotterdamu i tam bez wahania i potrzeby wstępuje do zakładu publicznego; inna, podobnie mogąca opływać w dostatkach, opuszcza dom rodzicielski z młodzieńcem, którego rodzina nie chciała przyjąć za zięcia, po kilku zaś miesiącach wstępuje do domu nierządu, kiedy zaś rodzice chcieli ją z powrotem przyjąć, odmawia, ponieważ w nowem swojem otoczeniu czuje się bardzo dobrze. Atoli gdy badacze włoscy przechodzą do szczegółów czysto anatomicznych, postać urodzonej prostytutki staje się mniej uchwytną, a nawet zupełnie zaciera się, gdyż niższa pojemność czaszkowa, stanowiąca najwyraźniejszą oznakę z pośród przytoczonych, także nie posiada dostatecznej siły przekonywającej, chociażby dlatego, że opiera się na zbyt małej liczbie spostrzeżeń. Natomiast jaskrawiej rzucają się właściwości fizyologiczne, lubo niekoniecznie muszą być one wrodzone, wiele bowiem jest takich, które mogły ukazać się już później. Nawet tak prawdopodobna cecha, jak pewne nieprawidłowości co do nastania chwili, kiedy kobieta przechodzi po raz pierwszy stany swojej płci właściwe, nawet to nie występuje z należytą siłą. Tarnowskaja, wybitna badaczka ruska, której nauka zawdzięcza wiele spostrzeżeń w tym przedmiocie, ze swoich poszukiwań wyniosła przekonanie, iż nierządnice wprawdzie dojrzewają wcześniej, niż zwykłe kobiety, ale różnica pod tym względem pomiędzy niemi a dziewczętami z warstw zamożnych nie jest znów tak bardzo głęboką *).

Trudno nam zapuszczać się w szczegóły wspomnimy tylko, że często namiętność zaczyna już działać w okresie dzieciństwa, a ośmioletnia dziewczyna bywa nią tylko z nazwiska, a życie jej jest bezustanną pogonią za uściskiem mężczyzny — pierwszego lepszego, jakiego napotka. Tommeo przeprowadził w tej mierze specyalne studya; z jego badań okazało się, że wśród całego zastępu znanych mu nierządnic 76% znajdowało się w wieku poniżej lat 25, wówczas gdy wśród mężatek wiek ten stanowi tylko 10,3%. Również innej oznaki, jaką jest mała płodność prostytutki, niepodobna uważać za jakąś właściwość wrodzoną, co zresztą przyznają sami autorzy. Natomiast inny rys posiada bardziej zdecydowaną postać, chociaż i on w znacznym stopniu może jest już późniejszym nabytkiem życia — mianowicie osłabienie wrażliwości zmysłowej. Zmysł dotyku jest częściej niż u kobiet innych kategoryj przytępionym, to samo można powiedzieć i o innych zmysłach, a w tej liczbie znajduje się każdy bez wyjątku organ jej ciała. Również z tego źródła wypływa jej dłuższa zdolność do życia, jeżeli nie zniszczą jej przedwcześnie nędza i choroby. Posiada ona zdrowie żelazne, organizm nieczuły na nadużycia. „Kobieta z marmuru,“ „kobieta dziecko,“ te nazwy, wprowadzone przez powieść dla scharakteryzowania owej dziewiczości ciała mimo pozornej a ciągłej orgii, określają najlepiej tę oporność.

Lombroso i Ferrero usiłują jeszcze zbudować inną teoryę, mianowicie że urodzona nierządnica z cech swoich oddala się od kobiety a zbliża do mężczyzny, co więcej, że owa męzkość jest źródłem wielu jej właściwości. Znane to zjawisko, że głos nierządnicy traci łagodność i miękkość; zwykle tłomaczą to nadużyciem trunków, nienormalnem życiem i innymi podobnego rodzaju wpływami; tymczasem badacze włoscy zapewniają, że nie jest to cecha nabyta, lecz wrodzona. Męzkością też wyjaśniają skłonność prostytutki do użycia spirytualiów, obcą zdrowej kobiecie, a także brak pragnień macierzyństwa i obojętność względem własnego potomstwa. Wreszcie do tego mianownika—męzkości nerwów—sprowadzają oni owe przewrotne instynkty, tak często zdarzające się u nierządnicy a którym nazwę przekazała po sobie poetka Safo. Wraz z przytępieniem zmysłów objawia się bezwrażliwość uczuć. Uczucia rodzinne są w zaniku — dla urodzonej ladacznicy niema rodziców, braci, sióstr, dzieci; tak samo dzieje się ze wszystkimi popędami moralnymi, współczuciem, godnością własną. Natomiast opanywa ją inna żądza — próżniactwa, a raczej zupełnego przytępienia. Apatya, obojętność, lenistwo, chęć uniknięcia jakiegokolwiek ruchu ciała są cechami charakterystycznemi, obok których, jako ich duchową odmianę, można postawić nieopatrzność i lekkomyślność. I inteligencya idzie śladem zmysłów, jest równie tępą w najwyższym stopniu. Wielka liczba ladacznic zbliża się umysłowo niemal do idyoctwa i tylko niewiele wybiega po za mierność.

Takim jest obraz urodzonej nierządnicy. Wstępuje ona na drogę nierządu nie dlatego, aby posiadała zbyt namiętną naturę, gdyż raczej często odznacza się chłodem. Jest ona przedstawicielką obłędu moralnego — *moral insanity* — jak mówi Maudsley. „Jeżeli ta i owa rzuca się na drogę prostytucyi, przyczyna tego spoczywa nie w namiętności, lecz w moralnym obłędzie; pozbawione wstydu, nieczułe na niesławę, pociągane ku wszystkiemu, co niezdrowe, wybierają ten sposób życia, gdyż znajdują go najdogodniejszym do zapewnienia sobie bytu bez pracy. Ich chłód płciowy jest dla nich korzystnym, ponieważ takie podniecające życie szybko zużyłoby kobietę. A że źródło nierządu tkwi nie w namiętności, lecz w idyoctwie moralnem, za tem przemawia też przedwczesna dojrzałość, która jest tylko objawem ogólnej przedwczesności u idyotów moralnych — od dzieciństwa wykazują oni jakąś niepohamowaną żądzę ku wszystkiemu, co jest zgrzybiałem.“ I w prostytutce i w idyocie moralnym uderza brak współczucia, obojętność na niesławę, lekkomyślność, próżniactwo, zamiłowanie do orgii i trunków. „Prostytucya jest żeńską postacią zbrodniczości. Nierządnica jest psychologicznie zbrodniarką; jeżeli nie popełnia zbrodni, to tylko dlatego, że słabość fizyczna, nizka inteligencya, łatwość zdobycia środków do życia w sposób wymagający mniejszych wysiłków, zwolnił ją od czynów występnych.“ Atoli urodzona prostytutka nie stanowi jedynej postaci wśród zastępu kobiet, oddających się nierządowi. Lombroso i Ferrero usiłują stosunek ten określić w postaci ściślejszej, procentowej. Z badań ich okazało się, że 63% całej armii ladacznic nie przedstawia w swoim organizmie najmniejszych śladów zwyrodnienia organicznego; co więcej, że z pośród pozostałych mnóstwo posiada rysy dość normalne — np. większa część zupeł-

*) Wogóle winniśmy zaznaczyć ścisłą łączność zbrodniczości kobiecej z temi chwilami, kiedy kobiecość występuje silniej — w prawidłowych odstępach czasu. Wszelkie bójki i rokosze zbrodniarek w więzieniu w 87% przypadają na tę chwilę; wiele zabójstw, podpaleń również jest w związku z temi epokami życia; to samo dotyczy kradzieży. Legrand de Saulle powiada, że ilekroć dziewczyna kradnie w składzie perfumy lub wstążki, zawsze znajduje się w stanie wyjątkowym.

---

nim się obejrzano, on padł na wznak — i skończył. Słyszeli tylko, jak w nim coś tam rżało i śmiało się; ale już się nie ruszał, kiedy zaś chcieli zobaczyć, co się stało — było już po wszystkiem.

— O, święty Jezu!

— Tak nagle!

Tss, tss!

I znów milczenie w izbie.

Mały Gunnar uwiesił się na ojcu, płacząc, że się boi. Sirena ukryła się w kolanach matki.

— Boże, od prędkiej, nieprzewidzianej, nagłej śmierci racz nas uchronić! — modlił się Enoch. Dobry Boże, nie karz nas w gniewie Twoim i nie karć w nagłej złości!

Westchnienia wokoło były odpowiedzią.

Per siedział pochylony, łokciami wsparłszy się na kolanach, ręce złożył.

— Prawda, że istnieje ktoś, kto wie, w jakim to uczynił celu — wyrzekł. Ale dalibóg, ciężkie to nieszczęście.

— Cel widoczny — odparł Enoch. Pan używa już to cierpień, już—dobrodziejstw, losu bliźnich naszych, jako przykładu dla nas, byśmy się opamiętali... napomnienia tego uważnie słuchając. Nikt z nas nie wie, kiedy wybije jego godzina.

— To prawda — odpowiedzieli szeptem wśród szarawo-zimnego mroku.

A wiatr świszczał i huczał, gwizdał w kominach i szarpał drzwiami; ciemność wzmagała się; świat pokrywał się zasłoną. W każdym kącie czyhała śmierć; nikt wiedzieć nie mógł, kogo pierwej pochwyci; wkrótce może i w tym domu ubierać będą trupa...

— Ojcze, ja się boję — jęczał Gunnar.

— Za nic nie poszłabym sama do obory — mówiła Marta, drżąc na całem ciele.

V.

Enoch skierował się wprost ku stajni. Tu zawlókł się do zagródki, w której stała kasztanowata szkapa, ukląkł i zaczął się modlić.

Oto więc Bóg wyrzekł poważne słowo; teraz czas wielki na krok stanowczy. Za lekko, za słabo pukał on ostatnimi dniami do wrót Łaski; należy użyć siły, wtłoczyć się we wrota te gwałtem; wkrótce mogły się zamknąć na zawsze; na weselu i on był przecież pijany.

Modlił się o skruchę, o rzetelną, prawdziwą skruchę, żebrał i prosił. Dusza jego cierpiała wprawdzie, ale był to tylko lęk przed wyrokiem bożym, a to niewiele warto; lękał się i Judasz i lęka się nawet sam dyabeł. Skrucha, skrucha powinnaby się w nim zbudzić, owa głęboka smętność serca za to, że wbrew woli bożej postępował; o Boże, stwórz mi w piersi inne serce!

I świdrował i grzebał w ubiegłem swojem życiu, grzechu szukając porównywał żywot swój z przykazaniami Pana i widział, że je wszystkie złamał, i to nie raz, ale siedm razy, o każdej porze i godzinie, w każdej chwili swego istnienia — a złamał je złym lub słabym będąc, myślą i czynem.

Czy istniał gorszy od niego bałwochwalca? On miał bożków więcej, aniżeli by ich pamięcią zliczyć zdołał; lecz ten, któremu służył najżarliwiej, zwał się — Mamoną. Do ziemi przylgnął całem sercem przylgnął w najszerszem znaczeniu tego słowa; jego zagroda była mu wszystkiem, była kochaniem jego i jedyną myślą. Poza nią nie widział nic dobrego i nic pięknego, nic go — obok niej — nie nęciło. O zagrodzie tej myślał w młodości; gdy zaczął uczyć dzieci, nie czynił tego, aby wszczepić w nie bojaźń bożą: szło tylko o dwadzieścia talarów rocznie — o ten pieniądz, którego pragnął dla prowadzenia swego gospodarstwa. Jednocześnie handlował owcami, kłamstwem i chytrością zbierał pieniądze, grzech przeciwko siódmemu przykazaniu; a że długo jakoś czekać musiał na tę zagrodę, więc, Boże odpuść, własnego rodzica zdrowie przeklinał — grzech przeciwko czwartemu i piątemu przykazaniu— a tylko z tego kochania dla zagrody. A od owego czasu walił, i pracował, i budował, i orał, wciąż jedną tylko myśl mając — pracę dla mamony, a kiedy urodził się potem mały Gunnar, Enoch zrobił sobie z dziecka nowego bożka, który serce jego silniej jeszcze przykuwał do ziemi; od prawdziwego Boga stronił, jakoby od zła.

A ileż to razy wzywał imienia boskiego daremnie, ileż razy dni świątecznych nie święcił, rodziców martwił, bliźnim złorzeczył; a czem usprawiedliwi się z grzechów

nie prawidłowo podlega chorobom, związanym z naturą kobiecą, dwie piąte mają normalną czuciowość zmysłową na ból itd. Z powyższych danych wypływa zatem, że urodzona prostytutka stanowi względnie niewielką część zastępów nierządu. Obok niej ukazuje się inna postać — ladacznicy przypadkowej, popchniętej na tę drogę przez najrozmaitsze okoliczności i niemogącej porzucić plugawego rzemiosła, kiedy już raz przylgnęło do ciała. U takiej kobiety przedewszystkiem występują uczucia czysto żeńskie: macierzyństwa i wstydliwości, niekiedy dosięgające bardzo wysokiego stopnia. Wtedy umysłowość bywa wyższą, zamiłowanie pracy — większe.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Anatole France, *L'Etui de nacie.* — Rosny, *Vamireh.*

France jest może największym artystą współczesnej prozy francuskiej. Pisuje on co tydzień (w *Temps*) stronicę krytyki, która jest rozkoszą smakoszów słowa — ale jest to krytyka nader oryginalna. Naukową odrzuca stanowczo, jako chimerę. Wszelkie systemy wydają mu się w tej mierze szkodliwymi, wywołują swego rodzaju odciski na duszy, wtłaczają ją w karby mechaniczne. On chce utrzymać rozrost jej bujnym a nawet dzikim. Jego znużenie duchowe lubuje się w bezgranicznej wolności — od wszelkich, chociażby najsłabszych i najbardziej uprawnionych więzów — a więc wymawia sobie swobodę wszystkiego: paradoksu, eleganckiego bluźnierstwa, wytwornego kłamstwa, artystycznej niemoralności. Rzeczą najważniejszą w świecie jest dlań jego własne „ja“ — jest to nawet jedyna rzecz, która go interesuje. Dlatego też w swych krytykach — istnieje ich tomów 5 — pisuje wyłącznie o sobie; dzieło rozbierane jest dlań tylko powodem dla wyrażenia pewnych stanów ducha, wspomnień, wrażeń artystycznych itp. Wymaga takiego postępowania i od innych; rzeczą najciekawszą jest dlań dusza artysty; dzieło stanowi tylko oznakę, ślad. Odrzuca śmiało demokratyczne przesądy względem „moi haïssable“ i popełnia na każdym kroku grzechy przeciw skromności — ale wielki artysta, lub grupa drobniejszych mogą sobie tego pozwolić, gdyż w świecie tonu, a raczej „dobrego tonu,“ oni są wszechmocnymi jego twórcami i kierownikami. Trzeba było wielkiej śmiałości, aby otwarcie wystąpić ze swojem „ja,“ jak to czynią Barrès, France, Lemaitre i inni. Brunetière i różnego rodzaju „vieilles barbes“ żżymają się okropnie na to naruszenie odwiecznych praw i obyczajów — poniekąd mają racyę, ale z drugiej strony jest sympatyczne to odrzucenie obłudy, wymagającej od pisarza na każdym kroku maskarady i gry w ślepą babkę, wymyślonej w znacznym stopniu przez bezsilność i zawiść miernoty.

Oprócz krytyk, France pisuje powieści i nowele, nadzwyczaj wdzięczne a często nawet wspaniałe. Jest to z wyobraźni artysta i grek, ale z serca — chrześcianin. Jego dyletantyzm chętnie się zatrzymuje na połączeniu tych sprzecznych psychologij, które wydają splot nader rzadki w swej złożoności. Dążność ta występuje w noweli „Amycus et Célestin.“

Święty Celestyn duma samotnie w dniu Wielkiej Nocy pośród gęstego lasu o rusałkach, czarownicach i innych przewrotnych stworzeniach, które rzucają wiosną swe czary na chłopców i dziewczęta. Naraz zagradza mu wązką ścieżkę, po której kroczy, młody chłopak, napół przykryty skórą zwierzęcą, z przenikliwym wzrokiem, zadartym nosem i śmiejącem się obliczem. Jego kędzierzawe włosy przykrywają dwa rożki na upartem czole, z pod długich warg błyszczą długie i ostre zęby, płowe włosy spadają z dwóch kątów podbródka, złoty puszek pokrywa mu pierś, a kopyciaste nogi toną w trawie. Św. Celestyn zrozumiał odrazu, z kim ma do czynienia i wzniósł rękę dla złożenia znaku krzyża, ale faun zaczął go błagać tak usilnie, iż dobry starzec puścił się z nim w drogę, przypomniawszy sobie św. Hieronima, który błądził po pustyni w towarzystwie satyrów i centaurów.

— Jakie jest twoje imię?

— Nazywam się Amycus. Urodziłem się w tym lesie i przyszedłem do ciebie, mój ojcze, gdyż masz minę poczciwą, pod długą, białą brodą. Zdaje mi się, iż pustelnicy to faunowie, przygięci wiekiem. Gdy się zestarzeję, będę podobny do ciebie.

Rozmawiając w ten sposób, wstąpili na wzgórze, gdzie wznosiła się kaplica, drobna i niepozorna. Św. Celestyn zbudował ją własnemi rękami ze szczątków świątyni Wenery.

Gdy starzec zaczął się modlić, faun skoczył do lasu i powrócił z pękami pachnących kwiatów, któremi upiększył ołtarz, a podczas mszy, kozonogi, schylając aż do ziemi swe czoło rogate, uwielbiał słońce, szepcząc: „Ziemia jest wielkie jajko, które ty zapładniasz, słońce, święte słońce.“ Odtąd Celestyn i Amycus żyli razem. Pustelnik nie zdołał nigdy, pomimo największych wysiłków, wytłomaczyć półczłowiekowi niewymownych tajemnic, ale ponieważ dzięki staraniom Amycusa kaplica była zawsze ustrojona świeżymi kwiatami, święty starzec mawiał: „Faun jest hymnem Boga“ — dlatego też go ochrzcił. France lubi też często uciekać do rzeczywistości, zwłaszcza w czasy ubiegłe, do starożytnej Grecyi lub Rzymu. Zbiór ostatni nowel („L'Etui de nacie“) zawiera jedną pyszną tego rodzaju rzecz pod tytułem „Prokurator Judei.“ Pan Sienkiewicz w swej słabej robocie „Pójdźmy za nim!“ wyprowadza Piłata, ale co to za licha postać! — czyni wrażenie zziajanego ekonoma. Proszę ją porównać ze szlachetnie zarysowaną przez France'a figurą! Autor potrafił ją utrzymać w surowych karbach rzymskiego stylu, przypominającego medaliony starożytne. Ale sól opowiadania zawiera się w czem innem.

L. Aenius Lamia, młody i wykształcony rzymianin ze szkoły Epikura, wygnany niegdyś przez Tyberyusza za rozpustę, mieszkał przez pewien czas w Palestynie, w ścisłej zażyłości z Piłatem. Ubiegło od tego czasu blizko lat 30 i dwaj przyjaciele spotykają się znowu w Bai, dokąd jednego sprowadziły piękne kurtyzany i piękniejsza przyroda, drugiego — kąpiele i względy zdrowia. Przy uczcie wszczyna się roz-

---

przeciwko przykazaniu szóstemu? Mało co od ziemi odrósł, a już żarty uprawiał, przekomarzał się; wstyd i strach pomyśleć o tem; kochał grzech i szukał grzechu, aż dowiedzieli się o tem rodzice i dziewkę ze służby przegnali... A potem ta druga, co też przez jakiś czas była mu bóstwem, tak że dniem i nocą o niej tylko myślał... A cóż dopiero te wszystkie inne, na które w młodości „spozierał“ by „ich pożądać...“ o, dobrze one były zapisane! Widział przed sobą całą otchłań, brudu pełną; fe, fe, jakimże był grzesznikiem; od stóp do głowy niema w nim czystego miejsca. A jednak nie żałował; drżał tylko przed karą, na którą zasłużył; o Boże, bądź miłościw, o Boże, bądź miłościw!

Lecz na wszelkie prośby odpowiedzi nie było, nie było znaku, iż Bóg go wysłuchał. A może tak długo już zwlekał, że Bóg już dziś o niego nie dba? Nie, nie, Pan mu pomoże; nie śmie położyć się, nie odzyskawszy spokoju...

„Czyż za sprawą Chrystusa nie można otrzymać wiary i pociechy, nie uczuwszy poprzednio skruchy za grzeszne czyny? Nie można — stało w „Prawdzie potrzebnej do bojaźni bożej“; wiara, mająca objąć Chrystusa, musi być poczętą w świadomości naszego żalu za grzechy...“ „Skąd powstać ma troska taka o grzechy? Nietylko ze strachu przed karą, bowiem jest ona natenczas jako fałsz Achata (*Król*, 21, 27 i d.), lecz z zastanawiania się nad miłością i dobrodziejstwami Boga, gdy wtedy człowiek niewdzięczność swoją dla tak pobożnego i życzliwego Boga spostrzega?..

Usiłował myśleć o dobroci Boga. Zaczął przywodzić sobie na pamięć wszystkie jego dobrodziejstwa — życie, zdrowie, jadło i napój, dowcip i rozum, wszystko, czego potrzebował dla ciała i kochania swojego — jednak on sam myślał zawsze jeno o złem... Każdej chwili zasługiwał na piekło, lecz Bóg nie karał go, lecz podtrzymywał, chronił i strzegł, co więcej: zesłał własnego Syna, by umożliwić grzesznikowi zbawienie, gdy się kiedyś zbudzi, aby dać mu Łaskę zamiast kary, szczęśliwość wieczną zamiast piekła. I pozwolił mu się urodzić w kraju chrześciańskim, gdzie droga ku tronowi Łaski otworem stoi i czekał na niego lat czterdzieści; życzliwością, przychylnością płacił za nikczemność i za zło. Enoch póty tak rozmyślał, aż wydało mu się, że jest psem, łotrem; łzy za grzechy jednak płynąć jakoś nie chciały...

Wszedł do izby, zapalił świecę, usiadł i zaczął czytać Lavsa Linderothk. Może tu znajdzie potężne jakieś słowo, które twarde jego serce skruszyć zdoła. Potem wziął Johanna Arndta, nakoniec Biblię. Kiedy nadeszła pora snu odczytał modlitwę, ową poczciwą, starą modlitwę ze śpiewnika swego rodzica.

Jednak musiał się położyć bez Łaski Pana.

Leżał i drżał przed śmiercią i piekłem, zasnąć nie mógł, nie śmiał zasnąć. Bo jeżeli przyjdzie. Modlił się, płakał nieledwie z lęku; lecz nie otrzymał żadnego znaku, któryby mu powiedział, iż został wysłuchany. Anna leżała, nasłuchując przez długi czas, była w rozpaczy.

Nad ranem zasnął Enoch, lecz spał niespokojnie. Zdawało mu się, że idzie jakąś ulicą w dzień ciemny, dżdżysty. Powietrze było pochmurne, ciężkie, jego zaś dręczyły złe przeczucia. Wtem patrzy, z łąki zbliża się ku niemu jakiś człowiek, w czapce z psiej skóry. Twarz miał nabrzmiałą, czerwoną. Stanął, utkwił wzrok w Enocha, otworzył usta, chciał przemówić, ale nie mógł; wyrzucał z siebie tylko ryk i jakieś niewyraźne dźwięki. Wtedy jakby nagle zasłabły — padł; zaczął spluwać, ale wszystko, co spluwał, było tylko dymiącym się ogniem.

Enoch aż zdrętwiał z przerażenia; wiedział, kto jest ten mężczyzna.

Wśród takich snów przewracał się na łóżku aż do rana; potem wstał, wystraszony, chory. Ubrał się jakby nieprzytomnie, wchodził i wychodził, pędził wszystkich tam i napowrót, jak gdyby nie mogąc znaleźć sobie spokoju. Nie mógł się też zabrać do żadnej roboty. Wreszcie Anna powiedziała mu:

— Czy to nie dziś chciałeś pójść do młyna i umleć trochę zboża?

W końcu wyszedł. Anna została w ciężkiej trosce. Boże, czyżby Enoch wpadł w melancholię?!..

(D. c. n.)

mowa. Piłat z goryczą skarży się na intrygi wrogów, które pozbawiły go urzędu i na zawsze oddaliły z areny życia publicznego, co dla takiego męża było wielką boleścią— Lamia natomiast oddaje się melancholii wspomnień miłosnych. Jest to rozmowa człowieka praktycznego ze sceptykiem. Obaj zgadzają się we wspólnej niechęci do żydów. Tylko Lamia, który składał wiele ofiar na ołtarzach Wenery Pandemos, znajduje, iż żydówki mają ciało „smaku dziwnie rzadkiego i delikatnego,“ co nie miałoby zresztą — zdaniem Piłata — w sobie nic zdrożnego, gdyby nie przyzwyczajało ciała do gnuśnej zniewieściałości. Ale wygnaniec Tyberyusza nie słucha jego uwag i wychyliwszy kielich falernu, uśmiecha się do jakiejś mary niewidzialnej, potem odzywał się w te słowa: „Kobiety syryjskie tańczą tak namiętnie i tęskno! Znałem jedną w Jerozolimie, która tańczyła w lupanarze, przy świetle lampki kopcącej, na złym dywanie, potrząsając cymbałkami. Z wygiętemi biodrami, z odrzuconą głową, uchylającą się pod ciężarem złotych włosów, z oczami tonącemi w rozkoszy, rozpalona i tęskna, kazałaby samej Kleopatrze zblednąć z zazdrości. Kochałem jej taniec barbarzyński, śpiew dziki, a zarazem tak słodki, zapach jej kadzideł, półsen, w którym zdawała się tonąć. Szedłem za nią wszędzie. Mieszałem się z podłym tłumem żołnierzy, którzy ją otaczali. Naraz zginęła i nie widziałem jej więcej. Szukałem jej długo po uliczkach podejrzanych i po szynkach. Trudniej było odzwyczaić się od niej, niż od wina greckiego. W kilka miesięcy potem dowiedziałem się przypadkiem, iż przyłączyła się do drobnej grupy mężczyzn i kobiet, którzy szli za młodym cudotwórcą galilejskim. Nazywał się Jezus; pochodził z Nazaretu i był ukrzyżowany nie wiem już za jaką winę. Pontiusie, czy pamiętasz go?“ Piłatus zmarszczył brwi i podniósł rękę do czoła, jak człowiek, który czeka usilnie. Następnie po kilku chwilach milczenia: „Jezus? — rzekł — Jezus z Nazaretu? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć...“ Inne rzeczy zbioru „L'Etui de nacre“ są mniejszej wagi.

Rosny był niegdyś uczniem Zoli. Pierwsze jego powieści, jak „Nell Horn,“ „Les Immolations,“ pisane były stylem jasnym i potoczystym, z tendencyą pesymistyczną, bez myśli przewodniej i ideału; ludzie byli tu dwunożnemi zwierzętami, kierowanemi tylko przez popędy i żądze. Cechy te występują dobitnie w głównej powieści z tych czasów „Le Bilatéral,“ w którym Rosny przedstawiał paryską armię przewrotu, ze wszystkiemi jej odcieniami i dążeniami. Psychologia jednostek jest tu słaba, ale psychologia mas potężna: one żyją i działają przed nami i stanowią istotnego bohatera książki. Był to także wpływ Zoli, który jest właśnie malarzem życia masowego. Ale już w tem dziele ideom wyznaczono rolę pierwszorzędną, niezgodną z przepisami mistrza. Z czasem Rosny zupełnie wydostał się z pod jarzma naturalizmu, a w powieści „Termite“ zachowuje się już względem niego sceptycznie i ironicznie. Przedstawia on tu pod przejrzystymi pseudonymami koryfeuszów szkoły: Goncourtów, Maupassanta, Zolę, Daudeta, ich wieczory literackie w Medanie i romans literata naturalisty Servaise'a z panią Charailles, mający prostotę pierwotnej miłości Chaosu i Gai. Pod Servaisem trzeba rozumieć — zdaniem jednych — Huysmansa, zdaniem innych — samego autora. Ogólny wniosek, do którego Rosny tu dochodzi, jest ten, że naturalizm jest kierunkiem zupełnie trywialnym i że brak mu nietylko stylu, ale i zrozumienia uczuć bardziej wzniosłych i złożonych. Było może trochę pośpiechu w niecierpliwości, z którą autor starał się zniszczyć ślady dawnych swych stosunków i pokrewieństw: w proteście „młodych“ przeciw „Ziemi“ Zoli, jego nazwisko było obecnem.

Rosny jakby pogrążył się wówczas w wodach letejskich i odrodził się nowym człowiekiem. Rozpoczął od stylu, który pstrzy dowolnie neologizmami i buduje w sposób nader fantastyczny, pomimo że krytyka francuska dąsa się i zżyma — ale tu odkryć można nietylko zamiar dowolny autora, lecz i wpływ dekadencyi, zupełnie jak u Huysmansa: mowa francuska traci obecnie pierwotną swą czystość, dezorganizuje się i rozpada, zupełnie jak łacina za czasów Petroniusza. Wzorowa czystość okresów wydaje się mdłą i ckliwą: tak zepsute podniebienie smakosza nie znosi sera, jeżeli nie jest upstrzony zielenią rozkładu. Styl ten ma zresztą swe czary i stanowi niewątpliwie jedno ze źródeł oryginalności Rosnego. Natomiast pod względem tendencyi autor stanowczo odwrócił się od dekadentów i symbolistów, wystawiwszy śmiało znamię miłości bliźniego i ideałów społecznych. Wbrew psychologom, którzy rozpatrują nasze „ja“ jako wszechświat odrębny, Rosny uważa jednostkę tylko za cząstkę gatunku. Zagłębia się też nie w sobie, lecz w spostrzeżeniach świata zewnętrznego. Było to także skutkiem zamiłowania do nauk przyrodzonych, geologii i astronomii, któremi autor lubi pstrzyć, zresztą w sposób nader subtelny, swe książki. Nie jest on psychologiem i dlatego najsłabszą może jego pracą—„Daniel Valgraive“ powieść, w której stawia sobie zadanie czysto psychologiczne. Bohater przed śmiercią spostrzega, iż przyjaciel jego, Hugues Vareil, kocha i jest kochany przez Klotyldę, żonę umierającego. Wielkim wszakże wysiłkiem woli przezwycięża w sobie zazdrość pogrobową i pracuje nad przyszłem połączeniem zakochanej pary. Autor wyraża tu swe poglądy na etykę, którą opiera nie na wolnej woli i poczuciu obowiązku, lecz na fatalizmie i „geometryi duszy.“ Natura pcha Daniela do poświęcenia i dobra, w których nie ma żadnej z jego strony zasługi. Wielki charakter jest dlań fatalnie wielkim. Dlatego też, dążąc do dobra, odrzuca pokorę — duma skierowana ku celom zaszczytnym jest dlań cnotą największą. Bohaterowie jego są pod tym względem napiętnowani nietzscheanizmem, ale on stawia przed nimi zadania nie jakiekolwiek, lecz tylko szlachetne. Najlepszą z powieści Rosnego był „Marc Fane,“ w którym przedstawia toż samo środowisko społeczne, co i w „Bilatéral,“ tylko bohaterem jest tu już nie masa, lecz jednostka: instynkty i pożądania ustępują na drugi plan wobec uczuć i idei, a miłość jest nader uszlachetniona i wysubtelizowana.

Nareszcie ostatnie dzieło Rosnego „Vamireh“ jest powieścią historyczną, a raczej przedhistoryczną. Jego miłość postaci silnych i potężnych musiała skierować się do tych czasów pierwotnych — lubi on także oprowadzać swą spokojną melancholię po oddalonych i mglistych cmentarzach historyi — a jego psychologia, prosta i niegłęboka najlepsze zastosowanie mogła znaleźć na człowieku pieczar i kamiennego topora, który jest śmiałym, szlachetnym, wojownikiem i artystą nieświadomym. Jego walki, miłość, przywiązanie do zwierząt—prawie przyjacielskie stosunki z mamutem — wszystko to tchnie żywiołową potęgą i prostotą. Nikt dotąd nie dał tak wspaniałego obrazu stepów pomiędzy Azyą i Europą i kolosalnej epopei pierwotnego człowieka — olbrzyma — takie złudzenie realności mógł wzbudzić tylko wielki twórca.

Rosny jest obecnie jednym z najwybitniejszych i najsympatyczniejszych pisarzów francuskich.

L. W.

LITERATURA POLSKA.

Adolf Pleszczyński. *Bojarzy międzyrzeccy*. Studyum etnograficzne. (Biblioteka *Wisły*, tom XI).

Biblioteka *Wisły* wciąż się pomnaża. Wartość wydawnictw jej jest bardzo niejednakowa, zawiera prace cenne, umiejętnie wykonane, niestety jednak do szeregów jej wcisnęły się roboty kompilatorskie, podjęte doryweczo i bez żadnej metody. Obok wartościowego studyum *Jagodne* Z. Wasilewskiego, mieści się dziełko p. K. Skrzyńskiej *Kobieta w pieśni ludowej*, będące parodyą umiejętnych i metodycznych poszukiwań etnograficznych. Wymieniona w nagłówku praca należy do zakresu monografij, obejmujących całokształt społeczno - folklorystycznych zjawisk pewnej miejscowości. Zawiera ona następujące rozdziały:

Bojarzy międzyrzeccy, gwara ludowa bojarska, zwyczaje i obyczaje mazurów-bojarów, wierzenia i przesądy, medycyna ludowa w parafii międzyrzeckiej, literatura ustna ludu. Dodatki: tablica statystyczna wsi bojarskich, melodye do pieśni. Jak widzimy, niektóre działy zostały pominięte, a uwzględnione, jak zobaczymy poniżej, opracowane są nierównomiernie. Badaniom tym przyświecała jednak sumienność i staranność umiejętna, która podnosi ich znaczenie.

Bojarzy międzyrzeccy środują pomiędzy drobną szlachtą a włościanami. Do szlachty — powiada autor — należą oni pochodzeniem i prawem dziecictwa ziemi; do włościan — również pochodzeniem, gdyż większość nosi nazwiska włościańskie, ale bardziej poziomem wykształcenia, strojem, obyczajami i mową, wspólnemi z ludem mazowieckim. Przystosowanie się do zmienionych warunków gospodarki odbywa się powoli, lecz nieodwołalnie i odbija się na całym trybie życia. Od lat dwudziestu nastąpił niepowstrzymany popęd ku zmianie ubrania i chociaż po staremu cały *przyodziewek*, z małymi wyjątkami, robi się z materyałów w domu przygotowanych i mniej więcej podług starych wzorów, to jednak formą i nazwami odstępuje od dawnego obyczaju na korzyść nowego. Mężczyźni nie chodzą już w kapotach, ale stroją się w surduty, paltoty i kurtki; kobiety porzuciły gorsety i przyjaciółki, a przyswoiły sobie kaftany i szubki. Gospodarstwo bojarzy prowadzą po staremu, trójpolowe, z widoczną wszakże dążnością do postępu. Drobne działki utrudniają im to niezmiernie. Spostrzegać się daje atoli coraz lepsza uprawa roli, coraz szersze korzystanie z nieużytków.

Gwara tamtejsza jest mazowiecką, lecz znacznie zmienioną pod nowym wpływem. Jest ona blizką starej mowy książkowej, często brzmieniem i zwrotami swymi, pełnymi siły i prostoty, przypomina najpiękniejszy okres literatury Zygmuntowskiej. Lud też z upodobaniem czyta przystępniejsze dzieła Skargi i Wujka i lepiej je pojmuje, aniżeli nowsze książki. Autor zaznacza właściwości gwary ludowej, podaje bardzo obszerny i starannie ułożony słowniczek.

Następnie przechodzi do zwyczajów, obrzędów, pojęć prawnych i społecznych. Zakres i treść podanych śpiewek weselnych są wyczerpujące. Odznaczają się one, jak wogóle wszystkie inne, polotem poetyckim, co się tłomaczy tem, że nie stanowią ściśle literatury ludowej. Strona właściwie obrzędowa dotknięta bardzo pobieżnie, a ma ona dla etnografa większe znaczenie, niż osłonka poetyczna. Na wyjezdnem do kościoła panna młoda usiadłszy na furę, kilka razy podnosi się z siedzenia i znów siada, a to na intencyę swych druchen, aby nie siedziały pannami i rów-

nież poszły za mąż. Podobnego rodzaju formy zwyczajowo napotykają się bardzo często u ludu i świadczą dowodnie, jak niegdyś układ psychicznego jego życia wielce się różnił od indywidualizmu inteligencyi obecnej. Wszechstronne i szczegółowe wyliczenie obrzędów pogrzebowych nieposlednie posiada znaczenie, cechują się bowiem one nieruchomością i trwałością a zapoznać nas mogą z wierzeniami starodawnemi ludu. Autor nie wywiązał się całkiem zadawalająco pod tym względem. Ze zwyczajów i pojęć prawno-społecznych zasługują na wzmiankę: niemiec i żyd nie może być nigdy szlachcicem, czyli panem, chłop prosty może, np. gdy skończy szkoły. Przy wszelkich kupnach i sprzedażach kobieta, t. j. żona, powinna być obecna. Świadczy to jeszcze raz przeciwko całkiem bezzasadnemu, dosyć jednak upowszechnionemu poglądowi, jakoby włościanka była jakąś istotą bezprawną, korną tylko służebnicą swego męża i pana. Kradzież drzewa z lasu nie hańbi, zwłaszcza na opał. Ten, kto zabija złoczyńcę bez sądu, bierze jego grzechy na swą duszę. Wyraz *mason* lub *farmazon* oznacza człowieka złego, bezbożnego. Ciekawy to przykład przekradania się i przeinaczania wyrażeń i pojęć, pochodzących z odmiennej sfery. Dział: wierzenia i przesądy ludu, zabobony, gusła, zamawiania, klątwy zestawiony jest bezładnie i bynajmniej nie wyczerpująco. Wymienimy kilka. Uderzyć w dzwony kościelne, gdy złodziej z łupem ucieka, wtedy *zdurzeje* i da się złapać. Słońce jest królem między gwiazdami, księżyc jest jego synem, gwiazdy stanowią dwór; te ostatnie mają wraz z *planetami* wielki wpływ na losy człowieka. Gwiazdy spadające to „dusyczki dzieci nieokrzconych.“ Dobry uczynek zrobi ten, kto ujrzawszy taką gwiazdę, zawoła: „Jadamie albo Jewo, ja ciebie krzcę.“

Bardzo obszernie i szczegółowo opracowany został dział medycyny ludowej. Autor podał pojęcia o składzie ciała ludzkiego, o chorobach, alfabetyczny spis leków i chorób ludowych. Wiadomości owe zawdzięcza przeważnie dr. Baltazarowi Wysokińskiemu, lekarzowi, od lat wielu praktykującemu w tamtejszej okolicy. Takie zerwanie z dotychczasowym kierunkiem, upatrującym w medycynie ludowej tylko siedzibę przesądów i zabobonów, może przynieść pożytek ludoznawstwu. Medycyna ta w każdym razie jest wiedzą ścisłą, prawidłową, uporządkowaną. Zasadza się ona bowiem na grubym empiryzmie, ale w zbiorowisku przesądów można także dojrzeć racyonalne sposoby leczenia, stosowanie środków, niezbyt dawno przez naukę wykrytych. Hypnotyzm w pierwotnej postaci i masaż zdawien dawna są praktykowane śród ludu. Instynkt i empiryzm są to zapewne błędne i zawodne w wielu razach przewodniki, ale za ich pośrednictwem można wiele jednak osiągnąć.

Zebrał autor 174 przysłów obyczajowych, wiele z nich odznacza się przepyszną siłą obrazowania i jędrnością. Mogą one śmiało i z wielką korzyścią wzbogacić skarbiec ogólnie używanych. W zbiorku znajdujemy także pieśni pobożne; autor podał te, które nie pojawiły się jeszcze w druku. Na zakończenie przytoczył kilkanaście kołysanek. Ten rodzaj pieśni w naszym folklorze dotychczas był dosyć zaniedbany. Można tam jednak wykryć wiele ciekawych rzeczy, jak to udowodnił Pietuchow, zestawiając kołysanki maloruskie. Wykazał on, jak zmienia się ich treść i zakres, zależnie od wieku dzieci, którym je śpiewają, jak wiele tkwi tam liryzmu i rzewnej, tęsknej miłości matczynej. Splata się w nich pierwiastek bytowy z pouczeniami moralnemi.

Br. Ch.

Stanisław Rossowski. *Z teki Impresyonisty.*

Impresyonizm, oddający w lot doznawane wrażenia samą „plamą“ świetlną lub barwną, z pominięciem rysunku, przechodzi z malarstwa na wszystkie rodzaje sztuki. Kompozytor wywołuje go kolorytem instrumentacyjnym, roztapiającym w sobie melodyę, która jest rysunkiem muzycznym. Naturalista w literaturze, przeprowadziwszy wrażliwość swoją przez wszystkie odcienie barw przyćmionych, zwraca się ku dźwiękom i zapachom, zajmującym w poezyi miejsce plam nieokreślonych. W tej „wrażeniowości“ topi się nawet zimny marmur (sztuki plastycznej). Z tytułu wyżej wymienionej książki wnosićby można, że prąd ten przenika i naszego autora, a zwłaszcza nowy jego zbiorek obrazków pięknych i ulotnych jak chwile szczęścia. Tytuł ten jednak trochę zwodniczy, odpowiada bowiem tylko pierwszej grupie szkiców („Impresyi“) rzuconych na tło żywej natury. Odsłaniają one najjaśniejszą stronę talentu Rossowskiego. Już to wogóle wrażenia z przyrody umie on głęboko odczuć i po mistrzowsku odmalować. Czysta, nieskażona w swej bieli, światłość słoneczna, oblewająca te jego obrazy *plein air*'u, nie jest rusałką romantyczną, wyciągającą do ulubieńca swe białe ramiona, ale raczej heterą rozpalającą mu skronie żarem oddechu. W tej świetlanej powodzi, każda najdrobniejsza komórka jego delikatnej tkaniny nerwowej płonie jasnością złota, a słoneczna ta kąpiel usuwa troski i obawy, które jak brud na ciele zalepiają pory ducha. Ale całe to morze blasków, te jego słoneczne ducha przestworza spokojne jak południe, jak gdyby nie znały głębin wrących odmętem, ani burz wściekle miotających falami.

Wiemy dobrze, że namiętność, działająca siłą gwałtownych wybuchów, ma dla poety tylko wartość surowego materyału, wymaga ona artystycznego obrobienia, aby stać się drogocennym klejnotem. Rossowski posiada ten rzadki dar cyzelowania swych uczuć, brak tylko jego artyzmowi podwalin społecznych. Kiedy krajobrazy impresyonisty-romantyka jarzą się żarowem światłem, to rodzajowe jego płótno cechuje cisza pogodnego poranku, przerywana chyba upajającym szmerem ruczaju, szafująca wdziękami porannego słońca, które nie oślepia, ani pali.

Filozofia poety nie wspina się po skalistych wyżynach ducha, etyka jego nie spuszcza swego wiaderka w niedoścignione głębie, ale wzrok jego otwarty na wszystko, co chwyta za serce, choć powszednie i drobne, co krasi szarą powierzchnię rumieńcem życia. Miękka dłoń artysty modeluje najdelikatniej typy kobiece, które zapełniają jego pracownię. Przypatrzmy się niektórym. Oto portret steranej w mechanicznym zawodzie nauczycielki. Młodość minęła, miłość zawiodła, szczęście uciekło, siłę trud zabrał — została tylko wegetacya dla kawałka chleba. Życie nie ma dla niej żadnej wartości, jak nie mają banknoty wycofane z obiegu. Krzew to był bujny niegdyś, ale usechł na skalnym gruncie i wiosna nie okryje go już girlandą świeżej zieleni.

Na innym obrazku widzisz znów staruszkę, grzebiącą syna jedynaka, składającą z nim do grobu wszystkie swe nadzieje. Zrazu było jeszcze w jej boleści, która szarpała ją tysiącem szponów, coś mistycznego, jak w cierpieniach ascetów średniowiecznych, rozmyślnie zadających sobie rany, a z każdej kropli krwi w ten sposób upuszczonej, z każdego kolca cierniowego wykwitały lilie nadziemskiej rozkoszy. Powoli jednak zaczynał ból jej, ów jedyny pomost pomiędzy jej sercem a „usłą duszą“ syna, tracić charakter mistyczny, zaczynała się stawać drobiazgową i mimowiednie zlewała swe łzy w małe koryto cmentarnej próżności. Cień Zygmusia usunął się w dal, a cmentarnica dla siebie raczej, niż dla niego rozpalała mnogie światła. Oto znów portret pastelowy pani Otylii, owej jesiennej róży, z której kwiat opadł, a pozostała tylko sucha łodyga i kolce. Ale i jesień, zanim ją mgły szare spowiją, wysila się na olśniewające blaskiem chwile. Otylia więc nie czekając, aż ją wykreślą z listy czarodziejek, wolała sama swą piękność spalić na stosie namiętności. Na zakończenie jeden typ „męski,“ człowieka z podniebieniem. Różnie żyją ludzie: sercem, głową, rękami, on żył tylko podniebieniem. Nie chodził kwiecistemi drogami próżności, ani ciernistą ścieżką pracy, nie miał prawie żadnych namiętności; jak gwiazdy około słońca, tego ogniska wszechświata, tak u niego w około podniebienia zgrupowało się całe życie. Nie zwierzęca żądza obżarstwa ciągnęła go do stołów, ale owa wyrafinowana delikatność, podobna do fortepianu o mnóstwie klawiszy, na których smak wygrywał swe symfonie. Słabość zamąciła mu tę filozofię rądla i patelni. Utrata smaku zapędziła go w melancholię. W jego wyobraźni podniebienie urosło w zwodczą świteziankę, która nad strugami szampana, na skale łakoci siedząc zwabiła go w swe objęcia, wyssała zeń wszystkie siły a w końcu jak wyduszoną cytrynę rzuciła na śmiecie...

Tyle zdaje mi się wystarczy do poznania psychologii typów Stanisława Rossowskiego. Złożyły się na nie, obok niezwykłej pobudliwości poety, atmosfera dziennika, w której żyje, a w takich warunkach nie wykwitają same róże twórczości. Od pierwszego zbiorku nowel, ocenionych przed dwoma laty w *Prawdzie* a nawet od ostatniej wiązanki rymów, postąpił tu młody autor o duży krok naprzód.

Henryk Biegeleisen.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LICHWA W GALICYI.

Galicya jest klasycznym krajem lichwy — temi słowy motywuje dr. L. Caro swą monografię, z którą zapoznać chcemy naszych czytelników. Ustawa konstytucyjna ogłosiła dla całej Austryi, a więc i dla Galicyi zupełną swobodę stopy procentowej, a równocześnie znosiła wszystkie ograniczenia wolności dzielenia gruntów chłopskich. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Lichwiarze, którzy dawniej drżeli przed prawem i w ciemności prowadzili swe bezwstydne rzemiosło, zaczęli wyzyskiwać otwarcie chłopów, uwolnionych z ograniczeń co do zaciągania długów. Bezprzykładne powodzenie, jakie osiągnęli, ilustruje liczba licytacyj sądowych, która w latach 1867/8 wynosiła 271, w latach 1873/4 wzrosła do 1,026, w 1876 do 1,433, a w 1887 do 2,139. Pokazało się, że żaden kraj w monarchii austryackiej, a nawet w całej Europie nie może wykazać tak wielkiej liczby lichwiarzów zawodowych, jak Galicya. W czasie zupełnej swobody lichwy od r. 1868 do 1877 błogie następstwa tej filantropijnej instytucyi miały czas objawić się najświetniej. Co prawda, materyał dla jej wystudyowania, zawarty w odpowiedziach na kwestyonarz Wydziału krajowego, bynajmniej nie odpowiada wymaganiom naukowym. Nie daje on ani statystyki lichwiarzów, ani statystyki dłużników, nie określa dokładnie rozmiarów lichwy, ani kategoryi włościan, na których spadła ta plaga. Co więcej, opisaną tam jest tylko je-

dna forma lichwy, pieniężnej, powikłanej zazwyczaj daninami w naturze lub robocizną. Pomimo to jednak z owych kilkuset odpowiedzi można wytworzyć sobie bodaj w przybliżeniu obraz lichwy w Galicyi przed wydaniem ustawy w r. 1877, obraz iście zastraszający. Chłop galicyjski zaciąga przeważnie drobne pożyczki krótkoterminowe i to na cele spożywcze. Przednówek, klęski żywiołowe, nieurodzaj, sute wesela, chrzciny i pogrzeby, procesy i układy spadkowe, wreszcie podatki rządowe i autonomiczne — oto główne czynniki, które pędzą chłopa w ręce lichwiarzów. Lichwiarzami zaś są po największej części żydzi, szynkarze i handlarze. W ich ślady wstępowali bogatsi włościanie i banki. „Dwory pożyczały również potrzebującym chłopom bądź to drobne sumy, bądź też zboże lub inne artykuły i na procent, rzadziej na zastaw gruntu. Spłata długu odbywała się najczęściej przez odrobek w polu.“ Tyle powiada J. Franko o lichwie dworskiej, tej modnej pańszczyznie; u dr. Caro ani słowa więcej, jak gdyby nie istniały głośne w całym kraju „porcye,“ jak gdyby dawanie pieniędzy na odrobek było instytucyą wprost filantropijną, a nie rujnowało chłopów. Co się tyczy procentów, to żydzi brali po 50—150 w pow. borszczowskim, w brzeskim i rzeszowskim do 200 proc., w ubatyńskim do 40, a w skałackim do 500. Nieraz jednak i chłopi nie dawali się zawstydzić żydom.

Procent obliczano zazwyczaj od guldena tygodniowo 1 reński do 10 ct., czyli 500%. Że chłopu rachowano procent od reńskiego tygodniowo, było rzeczą naturalną, bo gdyby mu z góry powiedziano, że ma zapłacić np. 300% rocznie, to byłby pewnie stawiał opór, a 1—3 ct. od guldena wydawały mu się czemś niewinnem i dobrem.

Pożyczki dawano na krótkie terminy, zazwyczaj od przednówka do jesieni, albo do pewnego jarmarku. Dłuższe należały do rzadkości. Cel takich terminów był jasny. Lichwiarz przewidywał, że dłużnik nie będzie mógł w tak krótkim czasie uiścić się ze swych zobowiązań, a nieraz nawet wprost wyznaczał spłatę na taki czas, kiedy dłużnik jest ogołocony z wszelkich środków — np. przed żniwami. W takim razie chłop musiał okupować prolongatę szczodrymi datkami w zbożu, owocach, kurach, jajach, drzewie, mleku itp. lub też pracą polną. Naturalnie wszystko to w spłatę długu nie było wliczonem, a odsetki odsetek rachowały się osobno. Z powiatu czortkowskiego donoszą, że żydzi umyślnie tają przed chłopem termin wypłaty lub nawet go fałszują, ażeby ściągnąć z niego odsetki zwłoki i kary konwencyjne. Skutki takiej procedury łatwo do przewidzenia. Dług wzrasta do tego stopnia, że cały majątek dłużnika nie wystarcza na jego pokrycie. Lichwiarz przystępuje do egzekucyi lub przystaje na ugodę, mocą której zabiera część nieruchomości. W sądzie powiatowym halickim było w jednym roku 1876 aż 2,750 procesów lichwiarskich. Z innych powiatów donoszą, że lichwiarz dopóty zwleka z zaskarżeniem dłużnika, dopóki dług nie obciąży całej wartości jego mienia, które następnie na licytacyi za bezcen nabywa. Chłop, któryby stanął do takiej licytacyi, ściągnąłby na siebie powszechną wzgardę; lichwiarzowi żydowi nie czyni to żadnej ujmy w wiejskiej opinii publicznej. W powiecie nowosądeckim, podhajeckim i żywieckim zdarzało się, iż chłop zostawiwszy cały swój grunt, szedł do służby, aby nędznie zarabiać na żonę i dzieci, podczas gdy lichwiarz „za procent“ używał jego gospodarstwa. Nieraz obliczał odsetki od swego długu wyżej, niż wynosiły dochody z gospodarstwa, tak że chłop przez szereg lat musiał mu jeszcze dopłacać, póki wreszcie lichwiarz nie zlitował się i nie zakupił na licytacyi jego gospodarstwa. W pow. śniatyńskim lichwiarze nietylko brali w używanie grunt, ale liczyli sobie nadto 100% prowizyi, które dłużnik musiał prócz pożyczonego kapitału spłacić z zarobku. Ten nieprawny zwyczaj znany był w 47 powiatach. Jeżeli pożyczka dana była w gotówce, a dłużnik zobowiązał się spłacić ją w jesieni zbożem, to lichwiarz wyznaczał na nie nadzwyczaj niską cenę, tak że chłop oddawał dwa razy więcej, niż otrzymał. W czasach nieurodzaju stosunki te jeszcze się pogorszyły; w roku 1875 lichwiarze żydowscy kazali sobie za korzec pożyczony na wiosnę oddawać w jesieni trzy lub pieniądze za dwa. Spłata pożyczki pracą w polu była z góry umówiona, albo też dłużnik bywał do niej zmuszony dopiero wówczas, kiedy się pokazało, że ani w pieniądzach, ani w zbożu długu uiścić nie może. Daleko uciążliwsze były wypadki, kiedy liczba dni odrobku nie była z góry określona. Lichwiarz nie czekał, aż chłop przyjdzie do niego, ale polował na upatrzonego, wybierał sobie z góry swą ofiarę, narzucał jej pożyczkę nawet bez potrzeby, dawał na razie nawet bez procentu, aby pozyskać zaufanie. Dopiero gdy termin minął, zaczynały się kłopoty z prolongatą i doliczaniem składanych procentów. Gdy zaś dług dostatecznie narósł, lichwiarz zmuszał chłopa do podpisania aktu notaryalnego z obowiązkiem natychmiastowej spłaty. Nieporadny i zrozpaczony chłop oddawał się często wskutek tego pijaństwu, sprawiał huczne chrzciny lub wesele i brnął w długi coraz bardziej. Omotany przez lichwiarza, sprzedawał mu większą część zboża zaraz po żniwach za bezcen, a na wiosnę musiał to samo zboże na nasienie kupować w dwójnasób drożej lub wypożyczać na 100%. Potem przychodziła kolej na narzędzia rolnicze i bydło, przyczem zawsze chłop sprzedawał lepsze, a kupował gorsze, a nadwyżka tonęła w kieszeni lichwiarza. Ostatecznie kończyło się na tem, że lichwiarz po kawałku lub odrazu zagarniał ojcowiznę chłopską.

(D. n.)

Prościcki.

PRAKTYKANCI I TERMINATORZY.

W ostatnich czasach spostrzegamy coraz silniejszy nacisk opinii publicznej na potrzebę przekształcenia obecnych warunków, w jakich się odbywa tak zwana praktyka i terminowanie młodzieży i malców w różnych zakładach fabrycznych, rzemieślniczych, gospodarstwach rolnych itd. Przedewszystkiem — jakie jest zadanie „praktykanta“ i jakiego rodzaju kandydaci szukają tej drogi przysposobienia się do pracy? Młodzieńcy o nieokreślonych zdolnościach, wydaleni ze szkół lub zdolni, lecz opuszczający zakład naukowy z braku środków na dalsze kształcenie się, idą za wskazówkami lub wolą rodziców do takich instytucyi, które nie wymagając nakładu wiedzy, po paru latach dają możność zarobkowania, acz lichego. Ale umieszczenie chłopca nie jest rzeczą łatwą. I tu trzeba zabiegów, starań, protekcyi; w końcu gdy ojciec uszczęśliwiony oczekuje świetnych rezultatów, syn jego jest zwyczajnem popychadłem do wszystkiego. To, co właściwie ma być treścią jego praktyki, co mu fach ma zapewnić, jak najdłużej pozostaje przed nim w ukryciu. Pod tym względem praktyka we wszelkich odłamach pracy wytwórczej jest zupełnie podobną do terminowania u majstrów rzemieślniczych. Nawet rolnik inteligentny przyjmując młodzieńca, robi zeń zwyczajnego parobka. „Musi skosztować wszystkiego, musi być na wozie i pod wozem, zaznać niewygód, twardego życia.“ I w tem mniemaniu, że przyszły pracownik rolny powinien się zahartować i zaprawić do wszystkiego, wysysającego siły, robią zeń automat senny, zahukany, poruszający się na rozkazy. Trapiony niewywczasem i ciągłem naganianiem, w końcu tępieje i wychodzi z praktyki bardziej ciemny niż przedtem, niezdolny nawet do zajęcia miejsca karbowego. Takie marnowanie sił młodzieńczych na posługi daje się spostrzegać we wszystkich zawodach. Majster, czy właściciel przedsiębiorstwa widzi chwilową wygodę z kandydata na pracownika fachowego i bynajmniej się nie troszczy o jego przyszłość. Tymczasem praktykowanie powinno być także ujęte w pewien system pedagogiczny, na wzór specyalnych zakładów naukowych. Brak takich szkół wytworzył właśnie u nas dziwaczny sposób zdobywania wiedzy fachowej za pomocą najpierwotniejszej wysługi.

W tych dniach „Espraktykant na posadzie“ uchylił nieco w *Kuryerze codziennym* zasłonę warunków tego położenia. „Praktykant tak często uważany za niepotrzebny dodatek, nie zasługuje naturalnie na wynagrodzenie, sam go nawet nie żąda, gdyż uważałby to za darowiznę. Brak funduszów nie pozwala mu jednak pozostawać dłużej — ztąd wynika, że praktykowanie u nas, jest zwykle nawet przy najlepszych warunkach zbyt krótkie, a więc już z tego względu mało kształcące.“ Po ukończeniu wysługi niektórzy dostają liche posady w tej fabryce. „Gorzej rzecz się ma, gdy praktykant, robiąc wszystko co może, aby być pożytecznym — pozostaje bez wynagrodzenia przez dłuższy czas i w końcu mimo częstych wakansów w tejże fabryce, która mogłaby dać zajęcie, musi wystąpić, gdy się ostatecznie przekona, że do niczego nie dojdzie.“ Obeznany z przedmiotem autor dzieli praktykę w zakładach łódzkich na trzy klasy: 1) bez lub z bardzo małem przygotowaniem, 2) ze średniem i 3) wyższem. Naturalnie w każdej gałęzi przemysłu (przędzalniach, tkalniach, farbiarniach, drukarniach, fabrykach machin i przetworów chemicznych), praktyka dla każdej z tych klas musi być inną. Ale „przy dobrych chęciach, systematycznem postępowaniu fabrykanta i zwierzchników, a pracowitości ze strony praktykantów,“ można dać pracę znacznej liczbie ludzi, z pożytkiem zarówno dla nich, jak i dla przemysłu. Najtrudniej atoli o te chęci i „systematyczne“ postępowanie. Na brak drugorzędnych sił w produkcyi interesowani najbardziej narzekają, a pomimo to sami swą rutyną i brakiem w pewnej mierze bystrości, stoją na przeszkodzie w wypełnieniu tej luki. Zresztą wiele tu szkodzą majstrowie i wogóle wytrawniejsi robotnicy, traktujący z pogardą nowicyuszów i odsuwający ich od tego, co może im istotny pożytek przynieść. „Ekspraktykant“ mniema, iż cała sprawa dałaby się wprowadzić na tory właściwe w sposób następujący: „Byłoby bardzo pocieszającem, gdyby fabrykanci i zwierzchnicy fabryk zaprzestali nieprzyjmowania z zasady praktykantów, bez różnicy i stopnia przygotowania, a przyjmując ich, starali się zająć obowiązkową pracą, która się zawsze znajdzie i to z pożytkiem dla fabryki. Gdy to nastąpi, praktykant również będzie się starał zasłużyć na zaufanie i dbać więcej o gruntowne zapoznanie się ze specyalnością, niż o prędkie postępy materyalne. W końcu młodzież zacznie kierować się mniej ku warsztatom i średnim szkołom zawodowym. Niech jeszcze kilka lat—kończy autor — potrwa obecna ryczałtowa pielgrzymka do politechniki, a wkrótce jej wychowańcy będą stanowić wybitną konkurencyę nawet dla... zwrotniczych kolejowych.“ Sąd zbyt jednostronny. Przedewszystkiem wstęp do wyższych zakładów naukowych technicznych i ich ukończenie nie jest rzeczą łatwą. Wychodzą z tamtąd jednostki zdolne i pracowite; liczba zaś ich

nie jest tak znaczna, iżby przy warsztatach wielkiej produkcyi owi uczeni fachowcy nie mogli znaleść korzystnego zajęcia. Jeżeli dotąd nie znajdują, przypisać to należy nienormalnym warunkom społeczno-ekonomicznym, między innemi zajęciu korzystnych placówek przez cudzoziemców, tudzież ludzi praktycznie wykształconych i mających całkiem słusznie, wielkie zaufanie u swych pracodawców. Wreszcie ci ostatni w znacznej większości zaledwie o wykształceniu elementarnem, rozpoczynali swą karyerę od terminowania, więc cenią tylko tych, którzy podobną kolej *praktyki* przeszli. Ztąd to fachowcy z wyższem wykształceniem naukowem nie mają takiego uznania, na jakie zasługują. Wielka produkcya, racyonalnie prowadzona, wymaga zarówno uzdolnień pierwszorzędnych, jak i drugorzędnych. Dopóki będzie istnieć nieprawidłowość w ich przysposabianiu i przyjmowaniu do pracy zawodowej, dopóty trwać musi rozgoryczenie praktykantów, uprzedzenie pracodawców i niepotrzebne marnowanie sił, które dałyby się zużytkować produkcyjnie, gdyby wytwórcy zdolali rozszerzyć widnokrąg swych pojęć i dążeń.

Takie samo marnowanie sił odbywa się w warsztatach rzemieślniczych, dzięki tradycyjnemu terminowaniu, które przynajmniej przez połowę kilkoletniej praktyki nie ma nic wspólnego z danem rzemiosłem. Terminator, to zwyczajny chłopak dla posługi, wzięty przez majstra. Zdaje się wszakże, iż w niedalekiej przyszłości wejdzie nowy prąd w skostniałe zwyczaje cechowe. Niedawno ruskie Towarzystwo techniczne zwróciło się do ministra spraw wewnętrznych z prośbą o współdziałanie przy zbieraniu wiadomości o położeniu terminatorów w państwie. Ministeryum zgodziło się na to i rozesłało do gubernatorów kwestyonaryusze. Nadto, do okólnika dołączono sześć następujących pytań: 1) Czy nie zachodzi konieczność wprowadzenia ulepszeń względem stosunku terminatorów z czeladnikami i majstrami? 2) Czy list wyzwolenia lub świadectwo czeladnicze jest dowodem rzeczywistej znajomości rzemiosła? 3) Czy nie byłoby pożądanem ustanowienie publicznego egzaminu na czeladnika? 4) Jeżeli w obowiązującem prawie w stosunku do rzemiosł istnieją braki, to jakie mianowicie i jak należy je zmienić zarówno dla ochrony interesów majstrów, jak i terminatorów? 5) Czy nadzór nad zakładami rzemieślniczymi wogóle, a terminatorami w szczególności, jest dostateczny? 6) Czy pożądane jest rozciągnięcie prawa o wynajmie małoletnich do robót fabrycznych na zakłady rzemieślnicze i czy w takim razie potrzebne są jakie zmiany w interesach rozwoju samego rzemiosła oraz dla dobra uczniów? Zanim odpowiedzi na kwestyonaryusz, nadesłane już do centralnego komitetu statystycznego, będą ugrupowane i dadzą możność wysnucia wniosków dla reformy, władza gubernialna za pośrednictwem swego organu (*Warsz. gub. wied.*), podała następujące swoje zdanie: Urządzenia cechowe opierają się na postanowieniu b. namiestnika Królestwa z r. 1816, oraz na przepisach uzupełniających z r. 1823. Nadzoru nad zakładami rzemieślniczymi, a w szczególności nad terminatorami, niema, chociaż ustanowiony jest on przez prawo. Miasta pod tym względem znajdują się w szczęśliwszych warunkach. Prezydenci i burmistrze mogliby mieć poruczoną sobie kontrolę nad warsztatami, oraz nad wypełnianiem przez urzędy starszych przepisów w sprawie postępu rzemiosł, ze zwróceniem uwagi na „sztuki wyzwolinowe“ terminatorów. Mogliby baczyć nad tem, czy majstrowie spełniają swoje obowiązki względem uczniów. Przepisy o egzaminach terminatorów należałoby uzupełnić dodatkiem, iż odbywać się powinny w magistracie wobec prezydenta lub burmistrza, członków magistratu tudzież starszych cechów. O wiele gorzej przedstawia się sprawa nadzoru nad zakładami rzemieślniczymi tudzież nad terminatorami po wsiach i osadach, które przed tem były miasteczkami. Zachowały się tam urządzenia, wchodzące do składu okręgów cechowych, a należące do cechów tego lub owego miasta. Otóż kontrolę nad takimi zakładami możnaby powierzyć wójtom gminy, tudzież kuratorom, wskazanym przez zebrania gminne, pod nadzorem administracyjnej władzy powiatowej. Co do rozciągnięcia na warsztaty prawa o wynajmie nieletnich do robót fabrycznych, to chociaż ustawa cechowa nie podaje minimalnego wieku, śród majstrów utarł się jednak zwyczaj nieprzyjmowania zbyt młodych terminatorów. Nie są oni też, zdaniem organu urzędowego, przeciążeni pracą. Z tego względu władza gubernialna nie uważa za właściwe poddanie terminatorów rzemieślniczych nadzorowi inspekcyi fabrycznej. Władza gubernialna stojąc na gruncie cechowców, proponuje także zakaz przyjmowania terminatorów przez rzemieślników, niemających tytułu majstrów cechowych.

Ruch powyższy jest zapowiedzią szerszych zmian w zakresie pracy terminatorów i sposobu ich nauczania. Naturalnie, reforma taka nie może być przeprowadzona pośpiesznie. Do tego potrzebne jest ugrupowanie znacznej liczby faktów i poddanie ich sądowi ludzi wytrawnych, bezstronnych.

Zn. P.

PAMIĘTNIK.

Corso.

Nawet przyjaciel i herold wszelkiego zbytku, *Kuryer warsz.*, poczuł i wyraził niezadowolenie z powodu *corsa* kwiatowego, w którem przybrania powozów miały kosztować do 600 rubli, a kwiaty zostały sprowadzone z zagranicy. „Jeżeli biedni — powiada to pismo — mają otrzymać 5,000 rs. z 500,000 rzuconych ręką zbytku...“ itd. Protestujemy przeciw tej uwadze najuroczyściej, gdyż:

1) biedni zawsze u nas dostają tylko skromny procent od kosztu urządzanych dla nich zabaw (bale i rauty) — jest to więc obyczaj warszawsko-narodowy;

2) zabawa kwiatowa w kraju ogołoconym z kwiatów albo musi pochłonąć dużo pieniędzy, albo być parodyą swych wzorów. Jeżeli w Nicy zdobią szprychy kół różami, to trudno, ażeby nasi *corsarze* poprzestali na bukiecikach w dziurkach tużurków;

3) skoro jednego dnia możemy „przerobić“ w totalizatorze 70,000 rs., to nawet 500,000 rs. jest dla nas bagatelą niegodną zastanowienia;

4) nasi wielcy panowie, którzy nieraz bywają oszczędniejsi, niż ich fryzyerzy lub dziennikarze, o ile nam wiadomo, pozostawili małpującej ich burżuazyi przyjemność rujnowania się na kwiaty zagraniczne, sami zaś zrabowali swoje i swoich przyjaciół ogrody dla przystrojenia powozów na *corso*, a tłum mniema, że rzucili tysiące rubli zagranicy. Krawcowa Eugenii opowiada w swych pamiętnikach, że nieraz cesarzowa wyjeżdżała na spacer w wełnianej sukni i kastorowym kapeluszu, a wszyscy mniemali, że ma na sobie najpyszniejsze jedwabie. Podobnie arystokracya mistyfikuje nieraz olśniony plebs. Kupi kwiatów za 500 rs. lub dostanie darmo — i narobi szumu swą rozrzutnością, podczas gdy naśladujące ją mieszczaństwo sprowadzi sobie z Riviery najdroższe odmiany róż i storczyków dla oplecenia kół — i tłum powie, że pochodzą od Ulricha lub Hosera. Bądźmy więc spokojni; gdyby arystokracya tyle wydawała, ile budzi pozorów, nie miałaby już na obiady w tanich kuchniach. W przeważnej części jest ona niebogatą, a prawie w całości do sknerstwa skąpą. Wszakże niektóre z wielkich pań handlują masłem... One miałyby wydać na przybranie powozu 1,000 rs.! Tere — fere...

Lekarki.

Dr. Laskowski z Genewy po raz drugi występuje (w *Tygodniku mód*) przeciw studentkom medycyny: „Od lat 17 — powiada on — zapisanych było na fakultet medyczny 50 polek i 125 kobiet innych narodowości, przeważnie izraelitek z Rosyi. Otóż z tych pięćdziesięciu dwie tylko, mianowicie pani Krajewska i panna Lituaer uzyskały w naszym uniwersytecie dyplomy doktorskie, a drugie dwie, tj. panny Jakubowska i Młodziejowska, wyjechały do Paryża, gdzie dokończyły studyów swoich. Ze 125 kobiet innych narodowości 10 tylko uzyskały dyplomy, a z tej znowu cyfry ostatniej jedna umarła, dwie wyszły za mąż i porzuciły praktykę, trzy używają pewnego powodzenia, a cztery wegetują zaledwie. Nie sądzę, żeby procent taki był dla przyszłych kandydatek medycyny zachęcający; tak jednak mają się rzeczy.“

Przytoczone przez dr. L. dowody są rzeczywiście pouczające, ale tylko jako wskazówki zmiany postępowania, kwestyi bowiem naturalnych uzdolnień niewieścich nie rozstrzygają wcale. E. Dühring, który jest wymownym obrońcą studentek medycyny, a równie wymownym oskarżycielem uniwersytetów, powiada, że ostatnie powinny się wyrzec swej średniowieczczyzny, a wtedy pierwsze będą dostatecznie przygotowane. Nie wchodząc w ten spór i przyjmując obecną skalę wymagań uniwersyteckich, przyznajemy, że kobiety wstępują na wydział lekarski bez dostatecznego wykształcenia. Ale dowodzi to tylko, że go nie mają gdzie zdobyć, nie zaś, że są niezdolne. Te bowiem, które — jak p. Krajewska — poświęcą lat parę na studya przygotowawcze, wytrzymują próbę doskonale. Nadto w rozstrzyganiu takiej sprawy nie można się opierać na rezultatach osiągniętych przez kilkanaście kobiet w jednym uniwersytecie, lecz należy uwzględnić doświadczenie w szerszym zakresie. Kto chce poznać ich siły i zasługi na polu lekarskiem, niech przeczyta ciekawą rozprawę Ch. F. Harlessa (*Die Verdienste der Frauen um Naturwissenschaft, Gesundheits- und Heilkunde*, Gotynga, 1830). Co się tyczy ubóstwa, rujnującego zdrowie studentek, niestety, zdarza się ono często i wpływa decydująco na ich karyerę. Naturalnie, dopóki jakakolwiek nauka jest zbytkiem i przywilejem ludzi bogatych, biedni mogą tylko stawać się jej ofiarami.

Kameleonowi.

Korespondent krakowski donosi nam, że p. W. Zagórski, który straciwszy grunt we Lwowie i w Warszawie, powędrował z kolei do trzeciego miasta, gwizdnął przeraźliwie przeciw nam w swój kluczyk w *Czasie* z powodu uwag o jego fejletonowym bigosie z francuskim sosem na temat emancypacyi kobiet. Sprzeczać się z nim a nawet przekonywać go o małej wadze mózgu Gaussa nie będziemy, gdyż byłaby to polemika z metodą Olendorfa, ktora mu dostarcza głównej mądrości. Natomiast w jednym zarzucie przyznamy mu zupełną racyę. Twierdzi on, żeśmy zatrzymali się w „ewolucyi.“ Rzeczywiście, bo czemże jest i być może cały nasz rozwój wobec przemian człowieka, który w krótkim stosunkowo czasie zdołał być: liberałem lwowskim, „liberalnym radykałem“ pisującym korespondencye do *Prawdy*, współpracownikiem warszawskiego *Słowa* i krakowskiego *Czasu*, który w naszych szpaltach dowodził, że „stańczycy przestali być stronnictwem narodowem a stali się dworską *camarillą*,“ że ich „*rząd moralny* głosi zwy-

ciężkim brzękiem swych błazeńskich dzwonków austryacką ideę," że stronnictwo to „psowając w umysłach ogółu poczucie prawowitości i sprawiedliwości, wywraca podstawy społeczne i spełnia przeto wprost rewolucyjne dzieło," a który teraz zaciągnął się pod chorągiew owych „błaznów" i „zaprzańców"? Czemże — powtarzamy — wobec tych kameleonowych przeobrażeń jest nasz postęp? Zastojem. Ewolucya, która każe rycerzowi mieć tyle przekonań na zmianę, ile krawatów lub skarpetek, ewolucya p. Zagórskiego, to ruch! Ale nie nasz, żółwi! To też pomimo wszystkich impertynenckich min życzymy szanownemu przeciwnikowi w dalszych metamorfozach jaknajwięcej przekonań, skarpetek lub krawatów — co woli...

Agenci ogłoszeń.

Ta klasa ludzi należy u nas do nabytków nowych. Przed 20 laty może ich było paru w Warszawie, a może nie istnieli wcale. Dziś za to uwijają się stadami jak komary, równie natrętne i równie dokuczliwe. Pisma humorystyczne mają z nich stałą zabawę, snując ciągle opowieści o wyrzucanych drzwiami a powracających oknem. Rozumie się w tej gromadzie są sprytni i zabiegliwi, są także wyzyskiwacze i oszuści. I *Prawda*, zanim nabrała doświadczenia i zamknęła swe drzwi wszelkim zbieraczom ogłoszeń, padła dwukrotnie ofiarą nadużycia dobrej wiary z ich strony. Zadłużywszy się na kilkaset rubli, znikali jak kamfora. Dziś żaden taki przelotny ptaszek nie uwije już sobie gniazda na ostatniej stronicy naszego tygodnika. Większość pism jednak korzysta dotychczas z usług tej czeredy. Zwykle odbywa się to tak: agent oblatuje sklepy i zakłady, namową, obietnicami i kłamstwami wyłudza od nich deklaracye, płatne po skończeniu druku ogłoszenia (nieraz więc za kilkanaście tygodni), składa je w administracyi pisma i pobiera z góry swój procent za pośrednictwo, wynoszący często połowę należności. Czasem jego klient zapłaci w terminie rachunek, czasem — odmówi, czasem okaże się, że wcale nie istnieje lub że deklaracya została sfałszowana. To są straty wydawców. Ale daleko poważniejsze bywają straty kupców i przemysłowców. Agent, „pracujący" dla jakiegoś wydawnictwa, durzy ich nadzwyczajną liczbą jego abonentów i czytelników. Dzięki temu widzimy często, że pisma posiadające szczupłą garstkę prenumeratorów, są zatłoczone ogłoszeniami, a bardzo rozpowszechnione — mają ich mało. Rzecz naturalna, że np. dla fabrykanta rowerów lub rękawiczek nie jest to obojętnem, gdy o jego wyrobach dowie się 500 ludzi, zamiast 15,000. Ponieważ zaś ogłoszenia stanowią w naszym budżecie społecznym ogromną cyfrę wydatków, dochodzącą do setek tysięcy rubli, przeto interesowani powinni ubezpieczyć się przeciw nadużyciom. Jak? — o tem niech myślą sami. Możemy im tylko dać jedną radę: żeby unikali agentów, a używając pośrednictwa kantorów ogłoszeniowych, żądali wykazu przybliżonych cyfr abonamentów każdego wydawnictwa. Wtedy wybiorą sobie najbardziej poczytne i zapobiegną temu, ażeby np. — jak to się dziś często zdarza — w piśmie rolniczem ogłaszano o sprzedaży skrzypiec, a w muzycznem — o sprzedaży stadników *). *H.*

Uzbrojenia przeciw cholerze.

Cholera daje znaki życia w południowej Francyi, Niemczech i paru guberniach Cesarstwa, u nas wszakże nie zdradziła się dotąd niczem. Mimo to ludzie, którzy jej nie dowierzają, a z przeszłorocznej zebrali wiązkę doświadczeń, przekonywających, jak skutecznie tłumi ją uorganizowana służba sanitarna, ciągle nawołują nas do baczności. Z rozmaitych książeczek, przepisów i urządzeń powstał już cały system uzbrojeń przeciw epidemii. Świeżo dr. Tchórznicki, obeznany zwłaszcza z warunkami życia prowincyi, wydał „Przewodnik dla służby zdrowia, t. zw. „sanitarzów," pracujących podczas epidemii." W książeczce tej zebrane są wszystkie przepisy rządowe oraz wskazówki ratowania chorych. Ponieważ pierwsze są dla każdego obowiązujące, a drugie dla każdego dostępne, więc broszurka dr. T. posiada istotną wartość i na wypadek wybuchu cholery powinna się znaleźć w ręku wszystkich, pragnących współdziałać w tłumieniu zarazy.

Echo dawnej sprawy.

Jak sobie zapewne czytelnicy przypominają, testament W. Walewskiego nakładcy *Słownika geograficznego*, został zakwestyonowany w swej ważności przez krewnych nieboszczyka, gdyż według nich miał być spisany nieformalnie i pod wpływem nacisku ze strony obdarzonych (Romeckich). Obok tedy akcyi cywilnej wywiązała się karna, która objęła również regenta Rutkiewicza, jakoby działającego tendencyjnie i nieprawnie. Otóż ten moment procesu został wreszcie rozstrzygnięty. Sąd okręgowy warszawski uznawszy, że rejent nie zachował żądanych przez prawo warunków przy spisywaniu ostatniej woli umierającego (wykonywając tę czynność bez ciągłej obecności świadków), skazał go na surową naganę. Sam ten wyrok nie ma bezpośrednio znaczenia publicznego, ale mogą je mieć jego następstwa. Mianowicie, jeżeli testament został spisany nieformalnie, to jest nieważny, a jeżeli nieważny, to *Słownik gergraficzny* przestaje być własnością Kasy Mianowskiego. Tylko na szczęście spadkobiercy Walewskiego nie upomną się o to dziedzictwo. Kasa bowiem otrzymała je bez żadnego zasiłku pieniężnego a z obowiązkiem prowadzenia własnym kosztem wydawnictwa, które się nie opłaca. Tej przyjemności chyba jej nikt zazdrościć nie będzie i zapewne nawet po unieważnieniu testamentu ten punkt ostatniej woli zmarłego będzie uszanowany i wykonany.

Nieziszczone nadzieje.

Reklamy kuryerowe, zwiastujące od tygodni paru przybycie do miasta naszego panny Emmy Koch, *pierwszorzędnej* jakoby wykonawczyni dzieł Beethovena, pomimo najgorliwszych wysiłków, zdołały zaciekawić nieliczną zaledwie garstkę publiczności, buntującej się czasami przeciw figlom reporterów i niedającej się, mówiąc żargonem warszawskim, brać nakawał...

Panna Koch w kraju swoim uchodzi nie za pierwszo, lecz za drugo lub trzeciorzędną artystkę: sumienna i drobiazgowa, tą drobiazgowością niemiecką, która pozwala opracowywać godzinami całemi jeden na pozór nic nieznaczący szczegół, zdobyła wielką technikę, którą, gdyby los był jej udzielił więcej siły i obdarzył iskrą natchnienia oraz uczucia, doprowadziłaby niewątpliwie do wyżyn wielkiej sławy artystycznej... Ponieważ wszakże p. Koch przyszła na świat z sercem przeciętnie rozmarzonej, sentymentalnej niemki, którą rozrzewniają zarówno zielone drzewa, jak i słodkie oczy wysznurowanego porucznika lub sos czekoladowy omletu — zatem nie zostało jej dane oddziaływać na tłumy przelewaniem w tony burz i wstrząśnień własnej wrażliwej duszy. Spokojna jej gra, dobrze, tak dobrze wystudyowana, że niekiedy jest bez zarzutu (pierwsza część koncertu G-dur Beethovena), pozwala niemieckim jej słuchaczom w przerwach między wykonaniem jednego „kawałka" a drugiego pić piwo oraz rozprawiać o polityce Capriviego. Naszą publiczność pozostawiła ona w lekkiem zawieszeniu i ci, którym imponują bombastyczne wykrzykniki *Kuryerów*, bili huczne brawo; samodzielni, lecz mniej odważni, milczeli; samodzielni i odważni powiedzieli sobie: przyzwoita. To samo mniej więcej, cokolwiek może odmiennemi słowy, powtórzyli nazajutrz sprawozdawcy pism codziennych, tym razem widocznie nie mając żadnych względów zarówno dla koncertantki, jak i dla jej opiekunów, wyjątkowowo sprawiedliwi.

Koncert a raczej tak zwany szumnie „Festival," na rzecz budowy własnego gmachu Towarzystwa Muzycznego, nie miał tej siły przyciągającej, któraby zdołała zgromadzić liczniejszą garstkę publiczności w dużej sali cyrkowej. Orkiestra holenderska, sumienna, pracowita, lecz pozbawiona temperamentu dyrektora, zbyt rozwlekle i bez wdzięku traktująca niektóre drobiazgi, zarówno jak i większe kompozycye, nie stała się taką ulubienicą publiczności warszawskiej, jaką była zeszłego roku orkiestra Bullerjahna, mniej liczna, lecz bardziej skoncentrowana w pojęciu i odtworzeniu wykonywanych utworów. Świetnym i bez zarzutu był akompaniament jej do koncertu Beethovena pod dyrekcyą Noskowskiego oraz traktowane szeroko Andante Czajkowskiego i Arya Bacha.

Podziwiać należy odwagę p. Noskowskiego, który, nie mając odpowiedniego materyału, wystąpił na estradę z tak piękną rzeczą, jak „Cisza morska i szczęśliwa podróż" Beethovena, kantata na chóry mięszane. Brak głosów oraz wysoka niemuzykalność śpiewaków i śpiewaczek, amatorów i amatorek, wywołały wprost wrażenie komizmu, na które nie powinien narażać się dobrowolnie artysta tej miary, co p. Noskowski. *Selika.*

Warsz. oddział Tow. ratowania tonących.

Co to za instytucya? Nikt o niej nie mówi, nikt dla niej nie urządza balów koncertów, a jej członkowie — majówek z „wyśmienitem śniadaniem." Istnieje ona od kilku lat, a liczy zaledwie kilkudziesięciu członków. Pomimo skromnych środków, dała znacznie większe rezultaty swej działalności, niż niejedno stowarzyszenie mające zabawy na pierwszym planie w swym programie. Wprawdzie usługa ratujących czasami była niedźwiedzią; niejeden ocalony złorzeczył swym zbawcom i może potem targnął się na swe życie powtórnie w inny sposób, więcej męczący, niż śmierć przez utopienie się. Ale zpośród samobójców niewątpliwie był znaczny procent takich, którzy uczynili zamach na swe istnienie pod wpływem chwilowej, przemijającej rozpaczy. Ludzie ci może byli obarczeni obowiązkami, a ocalenie ich życia ocaliło jednocześnie rodzinę przed nędzą i śmiercią głodową. Zresztą większość wypadków na Wiśle nie pochodzi z zamachów samobójczych. Przeważnie nurty rzeki porywają takich, którzy chcą i muszą żyć. Z tej kategoryi Towarzystwo ratowania tonących wielu ocaliło i przyznać mu potrzeba że pełni swe obowiązki z nadzwyczajną gorliwością. Urządziło trzy stacye: na Solcu, Rybakach i czasową podczas miesięcy letnich na przystani wioślarskiej. Stosunkowo jest ich zamało i zanadto są odległe od siebie. Dla skutecznego prowadzenia ratunku stacye takie powinny istnieć po obu brzegach rzeki; ale na to brak funduszów. Oto według ostatniego sprawozdania położenie materyalne: Towarzystwo miało dochodu w roku ubiegłym 983 rs., wydatki zaś (znaczna ich część poszła na przerobienie jednej stacyi) wyniosły rs. 1725. Niedobór więc musiano pokryć z funduszu zapasowego. Największy dochód daje zapomoga miasta rs. 400 rocznie. Składki zaś członków zaledwie

*) Przy sposobności uszczkniemy charakterystyczny kwiatek z naszej niwy ogłoszeniowej: w *Wędrowcu* mieści się inserat, który doradza zabierającym się do stanu małżeńskiego lub małżonkom kupić *Niby-bajki* Brzeckiego. Te *Nibybajki* są lichą ramotą powieściową; jakie zaś domniemanie wydawca pragnie wzbudzić w nowożeńcach względem tego utworu—zgadnąć łatwo.

przynoszą 280 rs. Tymczasem wydatki są znaczne (utrzymanie obsługi ratunkowej, zakup łodzi, najem lokalu). Zważmy, że ludzie oddający swe usługi na ratowanie tonących, nietylko pełnią ciężkie obowiązki, gdyż dniem i nocą muszą czuwać, ale własne zdrowie i życie w każdej chwili narażają. Ze względu na ich poziom umysłowy i stanowisko ekonomiczne, trudno wymagać niezwykłego altruizmu. Dla podtrzymania własnego bytu wymagają oni wynagrodzenia trudów, a dla zachęty do gorliwszego działania potrzebują nagród. Towarzystwo udziela je, o ile fundusze na to pozwalają. W każdym jednak razie dla stałego i pożytecznego rozwoju instytucyi, obecne środki są zbyt małe; oprócz powyższych źródeł dochodu, ofiarność publiczna podobno prawie nie istnieje. Warto więc, ażeby zarząd Towarzystwa energiczniej się zajął rozszerzeniem drogi filantropijnej, a publiczność powinna żywiej wziąć do serca rozwój tej pożytecznej instytucyi, która chociaż nie posiada w gronie swych członków wnoszących składki, „dzielnych“ i „sprężystych,“ ale w szeregach prostej obsługi ma ludzi odważnych i wytrwałych, którym pierwszy tytuł prawdziwie się należy. *Zn.*

Powódź.

Dla mieszkańców nadrzecznych rok bieżący będzie na długo pamiętny. Wiosna jednym napędziła strachu, drugich zrujnowała; początek lata przyniósł nowe klęski. Obfite deszcze podczas pierwszych dni czerwca w Tatrach spowodowały wezbranie potoków górskich tak silne, jakiego od lat dziesięciu nie pamiętają. Olbrzymie śniegi na szczytach gór stopniały, woda z szalonym pędem wpadła w koryto Bystrej, a z dolin: Kondratowej, Kasprowej i Jaworzynki, poniosła złomy granitu i po drodze wszystko zatopiła. Mieszkańcy Zakopanego, dawniej przyglądali się z zachwytem takiemu widowisku wspaniałemu. Dzisiaj spienione fale powitano z trwogą; w ostatnich bowiem latach nad brzegami Bystrej powstało kilkanaście wil, około zaś Modrzejówki i przy Starej Polanie przerzucono mosty. Tylko przy nadzwyczajnym wysiłku i energii służby drogowej, straży pożarnej i ochotników zdołano rozmiary klęski zmniejszyć. Inne rzeki, jak Dunajec, San, Dniestr, poczyniły również spustoszenia. Najbardziej ucierpiała Galicya wschodnia. W Wyżnicy na Bukowinie zawaliło się 30 domów, w Żużce woda zabrała 10 domów; oprócz dobytku tu i owdzie poginęli ludzie. Skutkiem zalania i zniszczenia zasiewów, cena zboża znacznie już podskoczyła. Wisła w Królestwie również poczyniła znaczne szkody, w wielu miejscach dotkliwsze niż na wiosnę. Szczególnie lud nadbrzeżny poniósł straty w sianie i posiewach.

Oszczędność.

Gazeta warszawska urządziła od pewnego czasu na czele kazalnicę, z której daje tłumowi rady bardziej naiwne niż głębokie. W zeszłym tygodniu czytelnicy przełknęli długą mowę na temat oszczędności i niejeden może w prostocie ducha poskrobał się w głowę, myśląc nad tem, w jakiby sposób usłuchać rady: będąc głodnym dzisiaj, odjąć ostatnią kromkę chleba od ust i zachować ją na jutro. W tego rodzaju oszczędności *Gazeta* wykryła niewyczerpane źródło dobrobytu na przyszłość. „Jeżeli masz czterdzieści groszy na utrzymanie sześciorga osób dziennie, odłóż dwadzieścia do skarbonki. Tym sposobem gdy na dzieciach twoich przyschnie skóra do kości, gdy ich mózgi stępieją, a ręce nie zdołają udźwignąć paru funtów, gdy sam będziesz drżeć z wycieńczenia i nogami ledwie włóczyć, a twoja żona o twarzy wyżółkłej z łoża się poruszyć nie będzie mogła — odbierz zaoszczędzoną przez długie lata kwotę z kasy oszczędności i zażywaj dobrobytu ze swą rodziną, zbieraj recepty.“ Taki mniej więcej można wyciągnąć sens moralny z artykułu. Dla zagrzania do tej wielkiej cnoty, autor podaje przykłady: „Anglia — ten nabab europejski — czyż doszłaby do tak ogromnych bogactw i wpływów, gdyby nie powszechne od trzech wieków na szeroką skalę rozwinięte w anglikach zamiłowanie do ciułania grosza?“ Tak woła ta sama *Gazeta*, która przed rokiem w szeregu artykułów „Nędza i żebractwo“ dowiodła na mocy poważnych źródeł, że te olbrzymie bogactwa wyrosły na karkach biedaków i że po za blaskiem imponujących kapitałów ścielą się cienie najstraszniejszej nędzy, której nie usunie najgorliwsza oszczędność. Widocznie *Gazeta* ma socyologię sezonową. *r.*

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Reforma sprzedaży majątków. Według doniesień *Warsz. Dniew.*, postanowiono zmienić sposób przeprowadzania sprzedaży majątku na zaspokojenie długów osobistych. Na pokrycie ich często sprzedawany bywa majątek nieruchomy włościan, pomimo iż wystarczyłby na to ruchomy. Przytem grunty sprzedawane są zwykle za bezcen, a włościanin wpada w ruinę. W Królestwie Polskiem zależy to od woli wierzyciela, czy chce być zaspokojony z majątku ruchomego, czy nieruchomego. Przy ściąganiu długów prywatnych należałoby przedewszystkiem regulować egzekucyę do ruchomości dłużnika, a gdyby te były niewystarczające, wówczas dopiero zwrócić się do osady. We wszystkich tych atoli wypadkach mienie włościańskie powinno być opisane w obecności miejscowego sołtysa i dwóch włościan gospodarzy dla osądzenia, jaka część majątku może być sprzedana bez doprowadzenia dłużnika do ruiny. Ministeryum sprawiedliwości wyjaśniło, że sprzedaż gruntu za stosunkowo nieznaczne długi pochodzi stąd, iż według miejscowego prawa cywilnego inwentarz, potrzebny do uprawy roli, narzędzia rolnicze, nasiona, gołębie w gołębniku, króliki, ule, ryby w sadzawkach, kotły, beczki, narzędzia kowalskie itp. nie są uważane za ruchomości. Dlatego też niewiele zostaje takich rzeczy, które mogą być sprzedane jako majątek ruchomy. Z tego powodu zamierzono podzielić majątek ruchomy włościański na dwie kategorye: 1) przedmioty uważane według prawa za ruchomości i 2) rzeczy, których miejscowe prawo nie uważa za ruchomości. Sprzedawane będą najpierw ruchomości pierwszej kategoryi, następnie drugiej, a w ostateczności dopiero osada lub jej część.

Jarmark w Łęcznie. W jesieni przerwano jarmark skutkiem epidemii. Stracili na tem wiele przedsiębiorcy i handlarze, ale się pocieszali tą myślą, że wiosenny pozwolił im powetować te straty. Zawiedli się jednak i tym razem, szczególnie w zakresie obrotów zbożowych. Główny przedmiot handlu stanowiły konie. Najładniejsze (18 sztuk) dostarczyła stajnia p. Skłodowskiego z Zawieprzyc. Miały one ogromny popyt i zostały sprzedane po bardzo dobrych cenach. Ładne również konie przyprowadzono ze stajen pp.: Kuszla z Przytoczna, Michalskiego z Trawnik, Przanowskiego z Krasnego i Gerlicza z Kraczewic. Reproduktorów było niewiele. Mniejsze składne i zręczne konie nabywali kupcy z Paryża. Na konie remontowe, nabywane zwykle do Austryi, wcale popytu nie było. Bardzo chętnie nabywano konie włościańskie i dobrze płacono. Woły robocze płacono bardzo dobrze do 90 rs. za sztukę i za krowy składne i dojne 50—60 rs. Bydła jednak lepszego gatunku dostarczono niewiele.

Towary łódzkie. W tych dniach więksi przemysłowcy łódzcy zniżyli ceny niektórych towarów bawełnianych, mianowicie o 1/4 kop. na arszynie: wszelkie gatunki szyrtyngów, kreasów, żakonetów tudzież wszystkich wyrobów surowych (niebielonych). O 1/2 kop. na arszynie zniżono cenę gatunku towaru, znanego pod nazwą szerszej łamy.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Złożony przez pełnomocników 3-go zjazdu górniczego w Warszawie projekt prawa o odpowiedzialności właścicieli zakładów przemysłowych za kalectwo i śmierć robotników, nie zyskał w radzie państwa uznania.

— Rada państwa postanowiła zalecić kolejom, aby dla zapewnienia należytego rozwoju prac około sztucznego zakładania lasów, przewoziły obowiązkowo żywe materyały drzewne (sadzonki, nasiona itd.) w pociągach pasażerskich i towarowo-pasażerskich lub w ostateczności w pociągach towarowych pośpiesznych.

— W ministeryum spraw wewnętrznych opracowano nowe przepisy, na mocy których miasta obowiązane będą co 4 lata składać szczegółowe raporty o gospodarce swojej w danym okresie czasu.

— Komitet ministrów zatwierdził projekt przepisów o karach względem osób, utrzymywanych w areszcie dla niewypłacalnych dłużników. W razie oporu władzy, wywołanie nieporządków w więzieniu itd., osoby takie mogą podlegać ograniczeniu w jadle do jednego miesiąca, pozbawieniu przechadzek do 7 dni, aresztowi obostrzonemu do 2 dni, pozbawieniu książek do 14 dni i pozbawieniu prawa przyjmowania odwiedzających od 7 dni do miesiąca.

— P. Skargowski obmyślił aparat, zapobiegający wypadaniu gorejącego żużla węglowego z kominów parowozów. Pomysł ma być poddany próbom na tutejszych kolejach. (*Kur. warsz.*).

— Przy ministeryum sprawiedliwości powstanie specyalna komisya, której poleconem będzie opracowanie gruntownej reformy kolonizacyi ruskiej w gub. litewskich. (*Now. wr.*).

— W Czechach w okręgu kopalń węgla w Kładnie, własności kolei państwowych, wynikła zmowa 10,400 górników, żądających podwyższenia płacy. Namiestnictwo prazkie posłało wojsko na miejsce zmowy, by sztrejkujący nie dopuszczali się nadużyć względem robotników, którzy nie zechcą przerywać roboty.

Szkoły. Ministeryum oświaty postanowiło ostatecznie od r. 1893/4 przenieść szkołę realną z Włocławka do Kalisza.

— Przy wszystkich szkołach ludowych w gub. nadbałtyckich założone będą biblioteki książek ruskich.

— Departament kolejowy zawiadamia, że z ulgi, dotyczącej przewozu kolejami uczącej się młodzieży, korzystają także wychowańcy szkół rolniczych niższych, pozostających pod władzą ministeryum dóbr państwa, a także i uczniowie szkoły niższej ogrodniczej w Częstochowie.

— P. S. Tolwińska, przełożona pensyi w Warszawie, otrzymała pozwolenie otwarcia z początkiem roku szkolnego progimnazyum żeńskiego o 4-ch klasach. Program nauk ma być taki, jak i w gimnazyach rządowych.

— Kurator okręgu naukowego w Rydze wydał rozporządzenie, aby uczniowie wszystkich miejscowych zakładów naukowych posługiwali się w murach szkolnych wyłącznie językiem ruskim.

Wychodźctwo. Napływ emigrantów na granicy pruskiej przybrał tak wielkie rozmiary, iż wskutek tego, według wiadomości otrzymanych z Memla, rząd pruski zamknął granicę dla ruskich wychodźców żydów i jednocześnie zakazał wydawać im bilety na kolej. Stosownie do tego rozporządzenia dozwolono udać się w dalszą drogę tylko tym, którzy byli zapisani na listach komitetu niemieckiego dla niesienia pomocy żydom, wyjeżdżającym z kraju, oraz tym, którzy posiadali już bilety okrętowe. W dzień wydania zakazu rannym pociągiem kolei zdążyło wyjechać z Memla 700 osób. Większa ich część udała się do Bremy i Rotterdamu, skąd wyprawia się do Ameryki. W końcu kwietnia z Libawy wyjechało 70 emigrantów. Partya ta składała się przeważnie z ludzi jadących do Ameryki na własny koszt. Komitety barona Hirscha, ograniczyły w tym roku swą działalność do przewozu 9 grup, z których każda składa się z 50 rodzin, pochodzących przeważnie z południowej Rosyi. Dawano przy tem ścisłe baczenie, by wszyscy zapisani na listach byli zdatni do pracy rolniczej. Do emigracyi garną się nie tylko rolnicy i rzemieślnicy, lecz i ludzie bez określonego zajęcia, komitety zaś Hirszowskie przyjmują bezwarunkowo tylko ludzi zdatnych do rolnictwa. Za granicą utworzono mnóstwo komitetów celem niesienia pomocy żydowskim emigrantom z Rosyi; przedsiębior-

stwo barona Hirscha uzyskało zatwierdzenie ruskiego rządu, a mimo to żydowscy finansiści w Rosyi nie robią nic dla sprawy emigracyi. Obojętność taka zwróciła na siebie uwagę i zagranicznej prasy, która nie szczędzi wymówek pod adresem żydowskich bogaczów.

Sprawy kolejowe. Zarząd kolei Nadwiślańskiej postanowił powiększyć liczbę stałych zapasowych urzędników ruchu, którzy wyłącznie będą używani do zastępstw urzędników stacyjnych. Wniosek ten zatwierdzono, z warunkiem, że nowe posady mogą być obsadzone od przyszłego nowego roku. Urzędnicy zapasowi otrzymywać będą po 500 rs. pensyi, po rs. 1 dyet dziennie i umundurowanie.

— *Gazeta polska* donosi, iż według otrzymanych z Petersburga wiadomości, rada państwa zatwierdziła wniosek ministra komunikacyi w przedmiocie likwidacyi kasy emerytalnej kol. Terespolskiej tudzież zwrotu uczestnikom składek z funduszu akcyonaryuszów, zgodnie z projektem, przedstawionym przez radę zarządzającą towarzystwa tej kolei.

— Okólnik dyrekcyi kolei wiedeńskiej zawiadamia interesowanych, iż wysokość wydawanych zapomóg na koszty pogrzebowe pracowników kolei i osób z najbliższej ich rodziny nie może przewyższać 5% pobieranej płacy.

— Projekt normalnej ustawy emerytalnej dla urzędników i oficyalistów kolejowych został ostatecznie opracowany.

— Pasażerowie wszystkich trzech klas kol. Dąbrowskiej, jadący ze stacyi Radom, Bzin i Kielce do stacyi Chęciny i z powrotem, mogą od 13 maja do 13 października 1893 r. otrzymywać bilety powrotne, ważne na trzy dni (licząc od północy następującej po wydaniu biletu), z ustępstwem 50% od taksy normalnej.

— Urzędnicy kolei skarbowych: Terespolskiej, Siedlecko-Małkińskiej, Brzesko-Chełmskiej i Nadnarwiańskiej, zawiadomieni zostali, iż wkrótce na wypadek kalectwa, choroby lub po wysłużeniu określonej liczby lat los ich będzie zabezpieczony, gdyż opracowywana w głównym zarządzie kolei państwowych ustawa kasy emerytalnej będzie wprowadzona w wykonanie r. b. Do kasy wspólnej kolei skarbowych należeć będą wszyscy urzędnicy i oficyaliści, z wyjątkiem robotników warsztatowych (majstrowie liczeni są jako oficyaliści etatowi), dróżników, zwrotniczych, robotników przy dozorze plantów i mostów oraz tragarzy, woźnych biurowych, szwajcarów, stróżów itd. Dla tej kategoryi pracowników opracowana będzie wspólna kasa przezorności, zasadniczo różniąca się od emerytalnej.

Bibliografia. M. Konopnicka, *Na drodze*, nowele i obrazki, str. 311, Warszawa, Gebethner.

— K. Gliński, *Poezye*, str. 273, Warszawa.

— Dr. M. Schreber, *Gimnastyka lecznicza pokojowa*, tłom. dr. Radziwiłłowicz, str. 112, Warszawa, Gebethner.

— J. Demeny *Zasady wychowania fizycznego w Szwecyi*, tłom. A. Gawrońska, str. 91, Warszawa, Gebethner.

— F. Wiśniewski, *Duch i materya*, str. 95, Warsz.

Zmarli. Książę Aleksander Lubomirski w Paryżu milioner, znany z filantropii. W Krakowie założył dwa przytułki.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 4 Іюня 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.